STRON 8

ROK V • NR. 1 /185/
NIEDZIELA
7 STYCZNIA
LONDYN • 1951

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1sh

ORĘDZIE WIGILIJNE OJCA ŚW. PIUSA XII

DROGA DO PRAWDZIWEGO POKOJU

I

KONIEC ROKU ŚWIĘTEGO

Czcigodni Bracia i umiłowani synowie,

ROK już upłynął od ostatniej Wigilii Bożego Narodzenia, od owego pamiętnego dnia, kiedy, wśród natężonego oczekiwania świata katolickiego, ogłosiliśmy i rozpoczęli wielki Jubileusz, który tak głęboko przeorał życie Kościoła, przewyższając nawet najśmielsze oczekiwania.

Zdaje się, iż słychać jeszcze, niby echo dnia wczorajszego, odgłos uderzeń młotka, otwierającego Świętą Bramę, która stała się duchową przystanią dla wszystkich ludów, i że słychać okrzyki radości, jakimi wierni tę wiadomość przyjęli.

Wyleciał wówczas z tego świętego progu na cztery krańce świata Anioł Pański, jakby na zwoływanie i sprowadzenie do wspólnej ojczyzny wierzących nieprzeliczonych rzesz pielgrzymów, którzy zdążali do Rzymu, tęskniąc za oczyszczeniem się w zbawczych wodach pokuty i pragnąc dokonać wielkiego powrotu oraz zasłużyć sobie na wielkie przebaczenie.

Dzisiaj tenże sam Anioł zdaje się mówić, jak ongiś Archanioł Rafael do Tobiasza: „Błogosławcie na ziemi Pana i dziękujcie Bogu. Oto ja wracam do Tego, który mię posłał. A wy opisujcie wszystko, co wam się przydarzyło" (Tob. 12,20).

Słowo k o n i e c, które prawa ziemskiego życia wypisują na każdej rzeczy, nawet najdroższej i najświętszej, i na każdym wydarzeniu, nawet najradośniejszym i najbardziej brzemiennym w następstwa, zostanie również wyryte na tej Świętej Bramie jubileuszowej, pozostawiając w sercach uczucie zarówno błogiej radości, jak i tęsknego żalu, podobne do uczucia, jakie towarzyszyło trzem Apostołom, gdy zstępowali z Taboru.

Jeżeli godną i słuszną jest rzeczą zawsze i wszędzie dziękować Ojcu, Dawcy wszelkiego dobra doskonałego, to z tym większą żarliwością jutro, kiedy położymy pieczęć na Bramie Świętej, wzniesie się z Naszego serca i z Naszych ust hymn wdzięczności, do którego dostroją się ze szczególniejszym uniesieniem, chociaż w tysiącu różnych tonów, jednak tym samym uczuciem zespolone, głosy katolickiego świata.

CUDA NIEZRÓWNANE

Kiedy staniemy po raz ostatni na progu, wydeptanym krokami tylu pielgrzymów, którzy przybywali tu szukać oczyszczenia i przebaczenia, odtworzą się w Naszej duszy, jakby w jednym obrazie, wszystkie, naprawdę niezrównane cuda tego roku, ten wspaniały przepych wielkich obrzędów liturgicznych, i te niewidzialne, ale zato tym piękniejsze odblaski dusz, odnowionych i uświęconych łzami skruchy w trybunale pokuty i łzami miłości u stóp ołtarzy.

Odżyją w naszej myśli uroczyste Kanonizacje i Beatyfikacje, żywe świadectwo tego, do czego jest zdolna natura ludzka wsparta łaską bożą, i w ile dzieł dobroczynnych we wszystkich czasach obfituje Kościół.

Usłyszymy, zda się, na nowo niemilknące okrzyki radości, nabożne modły i śpiewy, od których uniesienia drżały sklepienia Bazyliki Watykańskiej, która, nie mogąc pomieścić wzrastających nieustannie tłumów, rozszerzała się na zewnątrz, otwierając wielkie ramiona swej kolumnady. Zobaczymy znów w duchu dnie Wielkanocy i Bożego Ciała, wieczór Kanonizacji św. Marii Goretti, i jaśniejący niezwykłym tajemniczym blaskiem poranek ogłoszenia dogmatu Wniebowzięcia Maryi. Zobaczymy dalej wielkie pokutne i przebłagalne procesje, które, przeciągając ulicami chrześcijańskiego Rzymu, składały hołd czcigodnym wizerunkom Krzyża i Naświętszej Panny. Myśl Nasza napełni się wspomnieniami tylu Kongresów, które miały za przedmiot wiedzę teologiczną lub zagadnienia duszpasterskie, — echem Naszych przemówień, które zarówno żywy głos ludów, jak i prasa i radio przekazywały światu, — wreszcie dokumentów papieskich, skierowanych do tylu różnych osób, zwłaszcza Encykliki *Humani Generis* i Naszej *Odezwy do Kleru*, po których oczekujemy jak najobfitszych owoców.

WZRUSZAJĄCE WSPOMNIENIA

Przesuną się również w Naszym wspomnieniu budzące głęboką tęsknotę drogie obrazy waszych twarzy. Was przede wszystkim, Czcigodni Bracia Biskupi, którzy w tak imponującej liczbie pośpieszyliście do Nas i z taką uległością słuchaliście Naszego słowa. A potem i wasze oblicza, umiłowani synowie i córki. Nigdy nie potrafimy zapomnieć wyrazu waszych oczu, a tym mniej poruszeń ust, które powierzały Nam wasze udręki i wasze najgłębsze nadzieje. Niewymowne wzruszenie rozrzewniało również Nasze serce, ilekroć zstępowaliśmy do Naszego drogiego chrześcijańskiego ludu.

Żadna troska, żadne zmęczenie nie zdołały oderwać Nas od waszych pragnień ani udaremnić Naszego z wami spotkania. Dopuścić was przed Nasze oblicze, owszem oczekiwać was i pragnąć waszego przybycia, stanowiło dla Nas raczej potrzebę serca, aniżeli obowiązek Naszego pasterskiego urzędu. A za każdym razem, kiedy przedłużaliśmy wasze powitania, wymieniając was po kolei, naród po narodzie, diecezję po diecezji, parafię po parafii, grupę po grupie, chcieliśmy niejako zebrać wszystkie wasze głosy, wszystkie modlitwy, które pragnęliście złożyć w Nasze ręce, aby je przedłożyć Jezusowi.

Jakżeż chcielibyśmy wówczas przycisnąć was wszystkich do serca Naszego i dać wszystkim odczuć jak serdecznością odpłacaliśmy serdeczność, i sprawić, aby was wszystkich na wskroś przeniknęło słowo ufności i nadziei. Was specjalnie, wybrańcy Jezusa i Nasi ubodzy i chorzy, którzy w pewnych dniach tworzyliście najpiękniejszą ozdobę Bazyliki Watykańskiej i w których widzieliśmy zawsze najbogatszy i najcenniejszy skarb Kościoła.

ODNALEZIENIE GROBU KSIĘCIA APOSTOŁÓW

Jeżeli istotnie podczas Roku Świętego Konfesja św. Piotra w Watykanie była świadkiem i ośrodkiem tak imponujących manifestacyj jedności katolików całego świata w wierze i w miłości, to chwała tego miejsca świętego miała także pod innym względem swoje dopełnienie: a mianowicie wykopaliska pod samą Konfesją, — przynajmniej gdy chodzi o grób Apostoła — (na których przeszukiwanie zwróciliśmy uwagę już od pierwszych miesięcy Naszego Pontyfikatu), oraz ich naukowe zbadanie, zostały, w ciągu tego Roku Jubileuszowego szczęśliwie doprowadzone do końca. Niebawem udokumentowana publikacja poda do ogólnej wiadomości wynik najdokładniejszych dociekań.

A wynik ten jest przebogaty i najwyższego znaczenia. Zasadnicze zagadnienie brzmi następująco: Czy istotnie odnaleziono grób Świętego Piotra? Na tak postawione pytanie końcowy wynik prac i studiów odpowiada jak najoczywistszym: T a k. Odnaleziono grób Księcia Apostołów. Gigantyczna kopuła wznosi się dokładnie tuż nad grobem pierwszego Biskupa Rzymu, pierwszego Papieża, nad grobem w początkach swych bardzo skromnym, nad którym jednak kult wieków następnych w przedziwnej kolejności tworzenia dzieł sztuki wzniósł największą świątynię Chrześcijaństwa.

Drugie zagadnienie, z pierwszym najściślej związane, dotyczy relikwij Świętego. Czy je odnaleziono? Na skraju grobu natrafiono wprawdzie na resztki kości ludzkich, co do których jednak nie można z całą pewnością wykazać, czy należą do śmiertelnych szczątków Apostoła. Aczkolwiek to budzi pewien żal, jednak w niczym nie narusza historycznej rzeczywistości samego grobu. Tym bardziej więc winniśmy być wdzięczni Opatrzności Bożej, że zachowała Kościołowi na innym miejscu, a mianowicie w Bazylice Lateraneńskiej, najcenniejszą relikwię obydwu Książąt Apostołów.



DWUNASTOLETNI JEZUS ROZPRAWIAJĄCY Z DOKTORAMI
malował Albert Dürer
(Obraz znajduje się w Galerii Barberinich w Rzymie).

II

OWOCE ROKU ŚWIĘTEGO

Lecz oto te miliony ludzi, które przybyły z czterech stron świata do Centrum katolicyzmu, aby wziąć udział w tym światowym wydarzeniu Roku Świętego, by zyskać odpust jubileuszowy, by wzmocnić siły w oczyszczającej i uświęcającej kąpieli, by czerpać z radością możliwie nabliżej przy źródle łask, tryskających ze zdrojów Zbawicielowych (Por. *Iz.* 12,3); czy one zadowolą się tylko tym, że wrócą do swych krajów ojczystych jako uprzywilejowani spośród setek milionów tych, co nie mogli cieszyć się podobnym wyróżnieniem? — że opowiedzą im o przepięknych rzeczach, których byli świadkami? — że te wspomnienia sprawiać im będą ulgę po smutnej i codziennej rzeczywistości, o której na chwilę zapomnieli? Bynajmniej. Oni obecnie winni przejąć się posłannictwem, jakie ich czeka, zarówno zaszczytnym jak i pełnym odpowiedzialności, stając się słowem i przykładem wśród swych współwyznawców apostołami i głosicielami tego ducha, który przepełnia im serce.

Jak drzewo w ojcowskim ogrodzie, Rok Święty wspaniale okrył się kwieciem, i chociaż jego kwiaty zwiędłymi płatkami zaścielają ziemię, to tylko po to, by owoce mogły się teraz rozwijać i dojrzewać. Bo istotnie, one to mają róść i dojrzewać! Świat łaknie tych owoców i pragnie, a warunki jego życia, jego niedostatki materialne i duchowe, są dalekie od tego, by mu dać godne zadowolenie jakiego oczekuje. Potrzeby i troski codzienne zajmują i wyczerpują całą energię tylu serc, które nie znajdują już czasu, ani smaku, by sprawom duszy dać to minimum, które jest zasadniczym obowiązkiem każdego chrześcijanina.

Nawet tam, gdzie przy usilnej pracy kler świecki i zakonny, wspomagany gorliwą współpracą ludzi świeckich, przyczynia się do rozwoju życia religijnego, liczba chrześcijan duchowo niedożywionych, osłabłych lub chwiejnych w wierze, jest jeszcze tak wielka, że macierzyńska troska Kościoła nie może na to patrzeć obojętnie.

Wyrwać te dzieci Kościoła z ich stanu wygodnego ale niebezpiecznego letargu, jest naglącym obowiązkiem, jaki się obecnie narzuca apostolstwu katolickiemu.

PRZESZKODY APOSTOLSTWA KOŚCIOŁA

Każdego kto umie patrzyć uważnie, rozważać i oceniać obecne warunki w ich konkretnej rzeczywistości, siłą rzeczy uderzy widok poważnych przeszkód, jakie stają na drodze w pracach apostolskich Kościoła. Podobnie jak gęsta rozpalona lawa, która metr za metrem spływa po zboczu wulkanu, tak niszczycielska fala „ducha świata" posuwa się groźnie naprzód i rozlewa na wszystkie pola życia, na wszystkie klasy społeczeństwa.

Jej postęp i rytm, nie mniej jak i jej skutki zmieniają się w zależności od różnych krajów, od mniej lub więcej świadomego niedoceniania społecznego wpływu Kościoła, aż do systematycznej nieufności, która w niektórych formach rządu przybiera charakter otwartej nieprzyjaźni i prawdziwego prześladowania.

W całej pełni ufamy, że Nasi umiłowani synowie i córki zdobędą się jednak na trzeźwą ocenę i odwagę, by zdecydowanie podjąć i wypełnić obowiązki, jakie z tego rodzaju warunków wynikają. Bez rozgoryczenia, ale też i bez słabości dołożą starań, aby czynnie rozwiać uprzedzenia i podejrzenia wielu zbłąkanych, do których ma jeszcze dostęp słowo spokojne i rzeczowe: oni im wytłumaczą, że nie tylko nie ma najmniejszej sprzeczności między wiernością Kościołowi a służbą interesom i dobrobytowi ludu i państwa, lecz że te dwa rodzaje obowiązków, które prawdziwy chrześcijanin powinien mieć zawsze przed oczyma, najściślej ze sobą się łączą w doskonałej harmonii.

Rozmyślnie pomijamy przy tej okazji pewne rozdźwięki, jakie w ostatnich czasach ujawniły się pomiędzy katolikami i członkami innych społeczności religijnych, a które dość niefortunnie przedostały się częściowo na teren dyskusji politycznych. Chcemy mieć nadzieję, że we wszystkich ośrodkach niekatolickich znajdą się mężczyźni i niewiasty, którzy zdala zarówno od przykrych jak i szkodliwych polemik, słusznie żywić będą w swych sercach inne myśli, niż o rozbiciu i niezgodzie, z uwagi na niebezpieczeństwa, jakie zagrażają dzisiaj świętemu dziedzictwu wiary chrześcijańskiej.

WIELCY NIEOBECNI

Jeśliby ktoś miał pokusę nieuwzględnienia tej konieczności i tego obowiązku, niech spojrzy tylko na to — o ile to możliwe — co się dzieje wśród niektórych narodów, zamkniętych jakby za żelaznym murem, i zastanowi się nad tym, w jakim położeniu znajdują się one, pod względem życia duchowego i religijnego.

Zobaczy wówczas miliony katolików, braci i sióstr, oddanych całą duszą świętym i starym tradycjom wierności dla Chrystusa i związanych w wierności synowskiej z tą Apostolską Stolicą; zobaczy narody, których heroiczne czyny dla zachowania i obrony wiary, zapisały się niezatartymi głoskami w dziejach Kościoła; zobaczy — mówimy — jak często pozbawieni są oni praw obywatelskich, nawet samej wolności i bezpieczeństwa osobistego, jak odcięci są od wszelkiego ożywionego, bezpiecznego i swobodnego komunikowania się z Centrum Chrześcijaństwa i to nawet w najbardziej wewnętrznych sprawach swych sumień, a równocześnie jak dręczy ich niepokój poczucie jakby osamotnienia, a niekiedy przekonanie, iż są zupełnie opuszczeni.

Pod kopułą Michała Anioła, gdzie rozbrzmiewały głosy pielgrzymów ze wszystkich krajów wolnych, pielgrzymów, którzy w przeróżnych językach choć tym samym głosem wiary i tymi samymi pieśniami, wyrażali swą radość, ich miejsce wionęło pustką. Jakże bolesną była ta pustka dla serca Wspólnego Ojca i dla serc wszystkich wiernych, zjednoczonych w tej samej wierze i w tej samej miłości. Lecz ci wielcy nieobecni, tym bardziej byli obecni, im bardziej wśród tych niezliczonych rzesz, świadomych swej katolickiej wiary, zdawało się jedno tylko bić serce i jedna tylko żyć dusza, co wytwarzało tajemniczą, ale spoistą jedność.

Tym wszystkim wyznawcom Chrystusa, którzy dźwigają niesprawiedliwie widzialne czy niewidzialne kajdany, którzy dla Imienia Jezusowego zelżywość cierpią *(Dz. Ap.* 5,11), pod koniec tego Roku Świętego ślemy Nasze pełne wzruszenia i uznania ojcowskie pozdrowienie. Niechże ono do nich dotrze, niech przekroczy mury ich więzień, czy kolczaste druty obozów przymusowej pracy, niech dostanie się tam, do tych odległych krain, niedostępnych dla oczu wolnej ludzkości, do krain, nad którymi rozpostarła się zasłona milczenia, która jednak nie zdoła przeszkodzić ostatecznemu sądowi Boga ani też bezstronnemu potępieniu przez historię.

W imię najsłodsze Jezusa wzywamy ich do wielkodusznego znoszenia cierpień i upokorzeń, które przez swą nieocenioną wartość przyczynią się do wielkiej krucjaty modłów i pokuty, jaka się rozpocznie z rozciągnięciem Roku Jubileuszowego na cały świat katolicki.

Niech zarówno ich modlitwy jak i Nasze szeroką miłością na wzór Chrystusa, Apostołów i wszystkich prawdziwych naśladowców Odkupiciela, obejmą także tych, którzy dziś jeszcze znajdują się w szeregach prześladowców.

III

POKÓJ ZEWNĘTRZNY NARODÓW

Teraz gdy skierujemy nasze spojrzenie w przyszłość, jako najbardziej palący problem przedstawi nam się pokój wewnętrzny w każdym narodzie. Niestety walka o byt, myśl o pracy i o chlebie, dzielą na dwa przeciwne obozy ludzi, aczkolwiek zamieszkują jedną i tę samą ziemię i są synami jednej i tej samej ojczyzny. Z obydwu tych tytułów wymagają oni, zresztą najsłuszniej, aby ich uważano i traktowano nie jako przedmioty ale jako podmioty życia społecznego, zwłaszcza w państwie i w gospodarce narodowej.

Dlatego wielokrotnie i z coraz to większym naciskiem, wskazywaliśmy na walkę z bezrobociem i na dążenie do dobrze pojętego ubezpieczenia społecznego, jako na nieodzowny warunek zjednoczenia członków danego narodu zarówno nisko jak i wysoko postawionych w jeden organizm.

Otóż czy odważyłby się ktoś pochlebiać sobie, że służy sprawie wewnętrznego pokoju, ktoby dziś egoistycznie dopatrywał się w grupach ludzi, przeciwstawiających się jego własnym interesom, źródła wszystkich trudności oraz przeszkody do uzdrowienia i postępu?

Czyż mogłyby się łudzić, że służą sprawie wewnętrznego pokoju takie organizacje, które dla obrony interesów własnych członków nie kierowałyby się normami prawa i dobra ogólnego, a za to opierałyby się na sile zorganizowanej masy i na słabości innych, którzy nie są w równym stopniu zorganizowani lub którzy zawsze i we wszystkim podporządkowują użycie siły przepisom prawa i dobra ogólnego?

Wewnętrznego zatem pokoju narody mogą się spodziewać tylko od ludzi rządzących czy podwładnych, przywódców czy zwolenników, którzy broniąc swych poszczególnych interesów i swoich własnych przekonań, nie upierają się ani nie zacieśniają w swoich poglądach, ale umieją rozszerzyć swe horyzonty i podnieść swoje dążenia ku dobru wszystkich. Jeżeli w wielu krajach narzeka się na to, że młode pokolenia nie biorą udziału w życiu publicznym, to czyż nie jest tego przyczyną i to, że zbyt mało i zbyt rzadko stawiało im się przed oczy wspaniały i porywający przykład takich ludzi, jakich właśnie opisaliśmy?

Pod powłoką nie dających się rzeczywiście zaprzeczyć trudności politycznych i gospodarczych kryje się zatem jeszcze większa nędza duchowa i moralna, a mianowicie znaczna liczba ciasnych głów i marnych serc, egoistów i „karierowiczów", tych, którzy wysuwają się naprzód, którzy powodują się — czy to wskutek złudzenia czy małostkowości — widowiskiem wielkich mas, okrzykami wypowiadanych opinij, upojeniem podniecenia. Tacy sami z siebie nie uczynią ani jednego kroku, jak przystało by na chrześcijanina żyjącego z wiary, aby posuwać się naprzód, pod wodzą Ducha Bożego, zdecydowanie ku światłu zasad odwiecznych, z niezachwianą ufnością w Jego Boską Opatrzność. To jest właśnie prawdziwa nędza narodów.

Jak pasorzyt domowy, tak ona toczy narody od wewnątrz, i zanim się jeszcze ujawni na zewnątrz już je czyni niezdolnymi do wypełnienia ich posłannictwa. W ten sposób podwaliny systemu kapitalistyczno - przemysłowego uległy zasadniczym przemianom, które wojna wprawdzie przyśpieszyła, ale które już od dawna były przygotowane. Hołdownicze od wieków narody torują sobie drogę do niepodległości; inne, dotychczas uprzywilejowane, usiłują przy pomocy starych i nowych metod utrzymać swoją pozycję. Coraz to silniejsze i coraz powszechniejsze dążenie do ubezpieczenia społecznego nie jest niczym innym, jak tylko odbiciem stanu ludzkości, w którym wiele rzeczy, będących lub wydających się u poszczególnych narodów tradycyjne niewzruszonymi, stało się chwiejnymi i niepewnymi.

Dlaczego zatem ta wspólnota niepewności i niebezpieczeństw, jaką stworzyły okoliczności, nie zrodzi także u poszczególnych narodów solidarności ludzkiej? Czyż pod tym względem troski pracodawcy nie są troskami i robotnika? Czy produkcja przemysłowa w każdym narodzie nie jest ściśle związana z produkcją rolną wskutek ich wzajemnego na siebie oddziaływania? A wy, wy co jesteście nieczuli na udręki uchodźcy, nie mającego w swej tułaczce dachu nad głową, czy nie powinniście wczuć się w położenie tego, którego dzisiejszy opłakany los jutro może być losem waszym?

Czemuż by ta solidarność wszystkich znajdujących się w stanie rozterki i niebezpieczeństwa nie miała stać się dla nich pewną drogą wiodącą do uspokojenia? Czemuż by ten duch solidarności nie miał być jakby podporą naturalnego ładu społecznego w swoich trzech istotnych formach: rodziny, własności, Państwa —, by doprowadzić je do organicznego współdziałania, dostosowanego do warunków dzisiejszych? Do warunków dzisiejszych, które mimo wszystkie swoje trudności są przecież darem Bożym dla wzmocnienia naszego chrześcijańskiego ducha?

IV

POKÓJ WEWNĘTRZNY

Ludzie, pozbawieni tego zmysłu chrześcijańskiego, jedni zawiedzeni przeszłością, inni fanatycznie wielbiący urojone często bożyszcze przyszłości, a w żadnym wypadku z teraźniejszości nie zadowoleni, — oto poważne niebezpieczeństwo dla wewnętrznego pokoju narodów, a równocześnie i dla pokoju na zewnątrz.

Nie zamierzamy tu czynić aluzji do napastnika przychodzącego z zewnątrz, a pyszniącego się swoją siłą i depczącego wszelkie prawo i miłość. Znajduje on wszelako w kryzysie narodów, z powodu braku ich zwartości duchowej i moralnej, najsilniejszą broń, jakby swoje pomocnicze hufce wewnątrz samego kraju.

Trzeba więc, by narody, powodując się prestiżem albo przestarzałymi pojęciami, nie dały się wciągać do stwarzania trudności politycznych i społecznych w osiągnięciu wewnętrznego wzmocnienia u innych narodów, z zapoznaniem lub lekceważeniem wspólnego niebezpieczeństwa.

Trzeba by one zrozumiały, iż naturalni i najpewniejsi ich sprzymierzeńcy są tam, gdzie myśl chrześcijańska, a przynajmniej wiara w Boga mają znaczenie także w dziedzinie spraw publicznych, a nie przyjmują za jedyną podstawę zmiennego interesu narodowego lub politycznego, pomijając lub nie licząc się wcale z głębokimi różnicami w zasadniczych pojęciach o świecie i o życiu.

Te uwagi dyktuje Nam wzgląd na niewyraźne lub niezdecydowane oblicze szczerych zresztą przyjaciół pokoju wobec tak poważnego niebezpieczeństwa. A ponieważ leży Nam na sercu dobro wszystkich narodów, sądzimy że ścisła łączność wszystkich ludów, panów swego losu, zjednoczonych poczuciem wzajemnego zaufania i wzajemnej pomocy, stanowi jedyny środek obrony pokoju i najlepszą gwarancję do jego przywrócenia.

Niestety jednak w ciągu ostatnich tygodni rozłam, jaki na zewnątrz w świecie dzieli całą społeczność międzynarodową na przeciwne sobie obozy, jeszcze się bardziej pogłębił, wystawiając pokój świata na niebezpieczeństwo. Nigdy historia ludzkości nie znała tak olbrzymiego rozdźwięku, którego wymiary obejmują przestrzeń całego świata. W nieszczęsnym kontraście dzisiejszym użycie broni było by w skutkach swoich tak niszczycielskie, że pozostawiło by ziemię „pustą i próżną" *(Rodz.* 1,2), pustynią i chaosem podobnym do pustkowia nie w zaraniu świata, ale u jego schyłku. Wszystkie narody doznałyby wstrząsu, a konflikt odbiłby się i uwielokrotnił wśród obywateli tego samego kraju, grożąc przez to najwyższym niebezpieczeństwem wszystkim instytucjom obywatelskim i wartościom ducha, kiedy rozdźwięk wstrząśnie naraz wszystkimi najtrudniejszymi zagadnieniami, które w innych czasach oddzielnie rozpatrywano.

Straszne niebezpieczeństwo, jakie zagraża obecnie, domaga się bezwzględnie, z racji swojej powagi, skwapliwego korzystania z każdej nadarzającej się sposobności, aby przyczynić się do triumfu mądrości i sprawiedliwości pod hasłem zgody i pokoju. Przy tej okazji powinno się wrócić do poczucia dobroci i miłosierdzia wobec wszystkich ludów, które szczerze i jednie wzdychają do pokoju i cichego życia. Niech znowu zapanuje w organizmach międzynarodowych wzajemne zaufanie, oparte na szczerości w intencjach i lojalności w dyskusjach. Usunąć bariery, zerwać zasłony, dać każdemu ludowi wolne spojrzenie na życie wszystkich innych, usunąć odcięcie niektórych krajów od reszty świata, tak szkodliwe dla sprawy pokoju.

O, jak bardzo pragnąłby Kościół przyczynić się do wyrównania drogi do tego spotkania się ludów! Dla Kościoła Wschód i Zachód nie oznaczają przeciwnych sobie zasad, lecz mają one uczestniczyć we wspólnym dziedzictwie, do którego obydwa walnie się przyczyniły a powołane są do tego samego dzieła i na przyszłość. Mocą swego boskiego posłannictwa, Kościół jest dla wszystkich ludów matką, dla wszystkich tych, którzy szukają pokoju, wiernym pomocnikiem i mądrym przewodnikiem.

NAJWYŻSZA KRZYWDA

A jednak — najwyższa to krzywda! — ze strony pewnych kół wysuwa się przeciwko Nam zarzut, że chcemy wojny i że współpracujemy w tym celu z potęgami „imperialistycznymi", które — tak się twierdzi — obiecują sobie więcej po morderczych narzędziach wojny, niż po stosowaniu prawa.

Cóż innego My odpowiedzieć możemy na tak gorzką zniewagę, jak tylko: *Nie!* — Przypatrzcie się burzliwym dwunastu latom Naszego Pontyfikatu, zbadajcie każde słowo, jakie się wydobyło z ust Naszych, każde zdanie, jakie wyszło spod Naszego pióra a znajdziecie tam jedynie wezwania do pokoju.

Przypomnijcie sobie specjalnie nieszczęsny miesiąc sierpień 1939 roku, kiedy to, w chwili, gdy coraz bardziej przejmujący lęk przed krwawym starciem światowym ogarniał wszystkich, znad brzegów jeziora Albano podnieśliśmy Nasz głos, w imię Boga zaklinając rządy i narody, by załagodziły swe zatargi na drodze wspólnego i uczciwego porozumienia. Niczego nie utracono przez pokój — wołaliśmy —, a wszystko natomiast można przez wojnę utracić.

Spróbujcie rozważyć to wszystko z usposobieniem pogodnym i uczciwym, a przyznacie, że jeśli jest jeszcze na tym świecie, rozdartym sprzecznymi interesami, jakaś przystań bezpieczna, gdzie gołąb pokoju mógłby spokojnie spocząć, to tu na tym obszerze uświęconym krwią Apostoła i męczenników, gdzie Namiestnik Chrystusowy nie zna świętszego obowiązku i milszego posłannictwa nad to, by być niezmordowanym obrońcą pokoju.

Tak czyniliśmy w przeszłości. Tak też czynić będziemy i na przyszłość, jak długo Boski Założyciel Kościoła zechce zostawić na Naszych słabych barkach godność i brzemię najwyższego Pasterza.

WEZWANIE DO MODLITWY

Długa jest, szorstka i najeżona kolcami i cierniami droga, która prowadzi do prawdziwego pokoju. Jednakowoż znaczna większość ludzi gotowa jest chętnie ponosić wszelkie ofiary, aby tylko ustrzec się od katastrofy nowej wojny. Atoli tak wielkie jest to zadanie, a środki czysto przyrodzone są tak słabe, że wzrok nasz mimo woli kieruje się w górę a ręce wznoszą się błagalnie do tronu Tego, który z majestatu bóstwa zniżył się do nas, stając się jakoby „jeden z nas".

Moc Pana, który według swego upodobania kieruje sercami rządzących, jak strumieniami wód, których bieg reguluje (Por. *Przyp.* 21,1), może zażegnać burzę, która wstrząsa łodzią, gdzie znajdują się przerażeni nie tylko towarzysze Piotra, ale i cała ludzkość. Jednakowoż obowiązkiem dzieci Kościoła jest wyjednać swoimi modłami i ofiarami, aby Pan świata, Jezus Chrystus, Bóg błogosławiony na wieki *(Rzym.* 9,5) rozkazał wiatrom i morzu, a udręczonemu rodzajowi ludzkiemu dał *wielkie uciszenie (Mat.* 8,26) prawdziwego pokoju.

W tym duchu udzielamy z całego serca wam, umiłowani synowie i córki, oraz wszystkim, którzy na szerokim świecie słuchają Naszego głosu, Apostolskiego Błogosławieństwa.

PIUS XII Papież

23. XII. 1950.

PIELGRZYMKA STUDENTÓW POLSKICH Z HISZPANII

Piegrzymka Studentów Polskich przybyła z Hiszpanii do Rzymu w ramach „Obra Cattolica de Assistenza Universitaria" pod kierownictwem prof. Otero Navasqués. Polscy studenci wraz ze swym prezesem, p. Mirosławem Sokołowskim, zostali przyjęci przez Ojca św. na audiencji ogólnej w dniu 16. bm. w Bazylice Św. Piotra. Byli oni również podejmowani przez ks. Biskupa Gawlinę w Kościele narodowym św. Stanisława. Studenci, wraz z hiszpańskimi członkami pielgrzymki, byli też gośćmi Ambasady R. P. przy Watykanie. Ambasador Papée wygłosił gorące przemówienie, w którym dziękował Hiszpanii i jej przedstawicielom za pomoc udzieloną polskim studentom; odpowiedział wice-prezes Obra Cattolica, były Gubernator Barcelony, podkreślając więź istniejącą pomiędzy Polską i Hiszpanią w obronie chrześcijaństwa na Wschodzie i Zachodzie Europy, w przeszłości przed zalewem muzułmańskim, obecnie przed bezbożnictwem. Również Ambasador Hiszpanii przy Stolicy Apostolskiej, p. Ruiz-Guimenez, urządził przyjęcie dla pielgrzymki, na którym doszło do wymiany serdecznych przemówień pomiędzy Ambasadorem Polski i Hiszpanii, podkreślających dawną i obecną solidarność obu katolickich narodów.

WIESŁAW PISARCZYK

ORTODOKSJA STOSOWANA

KIEDY prawie trzy lata temu przyjechałem, żeby osiedlić się „for good" w Republic of Ireland, nie od razu przyzwyczaiłem się do sposobu, w jaki dzieci chrzestne świętego Patryka piją swe narodowe Guiness, choć już w Anglii wiedziałem wcale dobrze, że jest ono „good for you". Wrodzone polskie skłonności ułatwiły asymilację w tym kieunku w sposób zadziwiająco szybki i bezbolesny. W każdym razie proces ten odbył się gładko, bez wstrząsów i nie przyniósł bynajmniej najmniejszego uszczerbku dumie narodowej, która raczej rosła na oczach zachwyconych tubylców, patrzących z niekłamanym podziwem na równego współzawodnika w tej przedziwnej rozgrywce, która łączy ludzi, ułatwia językowe porozumienie oraz rozbraja nawet najbardziej zatwardziałe serca.

Nie tak gładko poszła jednak asymilacja w innej dziedzinie. Mówiąc szczerze, nie odrazu mogłem się wdrożyć do sposobu, w jaki te same dzieci świętego Patryka praktykują swoją religię oraz manifestują swoją przynależność do Kościoła katolickiego.

Rozumiem, iż zagadnienie asymilacji w dziedzinie pierwszej byłoby sprawą godną bliższego rozpatrzenia. Choć jest to kwestia niewątpliwie życiowa, nie wypada jej jednak poruszać na łamach ŻYCIA — ze względów zasadniczych. Z konieczności zatem musimy ograniczyć się do sprawy drugiej, która — jak to powinno ukazać się w toku dalszych rozważań — jest nie mniej frapującym i pożytecznym tematem. Będę więc pisał o sprawie religijności irlandzkiej. Między wierszami tych często osobistych wrażeń czuły i cierpliwy czytelnik będzie musiał odnaleźć klucz, który pozwoli mu odszyfrować treść zawartą w tytule — ortodoksja stosowana.

Z góry się zastrzegam, że nie stać mnie na traktat naukowy w tej mierze, dlatego też nie będę rozważań swoich popierał żadnymi mądrymi cytatami, ażeby bez uczonych obciążeń wyjaśnić zjawisko, które jest bardzo proste. W naszym wypadku taki uczony aparat nie na wiele by się przydał, gdyż osobiście jestem przekonany, iż w duchu katolickiej Irlandii nie wiele się zmieniło od czasu, kiedy naród ten przyjął chrześcijaństwo. Nie wiem, co Irlandczycy pili w czasach świętego Patryka. Wiem jednak, że dzisiejsza „bottle of stout" nie bardzo im przeszkadza być zupełnie dobrymi i praktykującymi katolikami. Nie wiem, czym sobie wytłumaczyć fakt, iż na tutejszym terenie i w tutejszym klimacie napój ten nie posiada tylu ujemnych stron, co „jasne piwo" na brytyjskim terenie i w brytyjskim klimacie. Jestem również przekonany, że irlandzki national beverage" nie pociąga za sobą tych skutków, za które odpowiedzialne są vino bianco czy też Bordeaux... Nie jestem klimatologiem, więc nie mam zamiaru rozwodzić się na temat, w jakim stopniu róznice klimatyczne zaciążyły na tym, że tak jest tutaj, a inaczej — gdzie indziej. Byłoby również błędem nie do darowania, gdyby czytelnik pomyślał, iż apoteozuję ciężki irlandzki porter i przenoszę go ponad włoskie Chianti, lub pieję peany na cześć hiberniańskiego „pub'u", który tak niewiele różni się od polskiej karczmy. Nie czuję się na siłach, by na podstawie praktycznej znajomości irlandzkich „pub'ów" uzasadnić prawdziwość czy fałszywość staro-polskiego przysłowia, że „złego kościół nie naprawi, a dobrego karczma nie zepsuje".

Ale wróćmy do naszego zagadnienia. Chociaż tych karczem jest tutaj — jak wszędzie — o wiele więcej niż kościołów, spełniają one (jeżeli idzie o nasze zagadnienie) wcale charakterystyczną rolę: nie z a s t ę p u j ą kościołów, jak się to dzieje tu i ówdzie, na różnych wyspach czy kontynentach. To jest moja zasadnicza teza, którą należy odszyfrować w następujący sposób: ludzie, którzy uczęszczają w Irlandii do „pub'ów", uczęszczają również do kościołów. Zrozumiałe wyjątki potwierdzają naszą zasadę, choć — muszę się przyznać — nie rozwiązują bynajmniej zagadnienia, które w dalszym ciągu pozostaje tajemnicą.

Żeby rozproszyć mroki, najlepiej będzie uciec się do materiału anegdotycznego. Zanim przyjechałem do Irlandii pewien dowcipny i złośliwy Anglik opowiadał mi jako fakt następującą historię, która miała, jego zdaniem, charakteryzować typowe na tym terenie zwyczaje: „Gdzieś na głębokiej prowincji irlandzkiej gromada ludzi odprowadza nieboszczyka na wieczny odpoczynek. Że cmentarz jest bardzo daleko, żałobnicy odwiedzają po drodze wszystkie karczmy, pokrzepiając czysto fizyczne zmęczenie i pocieszając się zarazem w ten tak bardzo ludzki i ogólnie przyjęty sposób. Tragedia miała wydarzyć się na ostatnim etapie drogi ku wiecznemu odpoczynkowi, tzn. w ostatnim „pub'ie". Któryś z wrażliwych członków rodziny zauważył, iż trumna ze szczątkami nieboszczyka została wraz z wozem zostawiona w którymś z poprzednich „pub'ów". — Przykład ten mógłby wywołać zgorszenie, gdyby go powtórzyć Irlandczykom, którzy są narodem kulturalnym i na stypach pogrzebowych nie piją ani mniej, ani więcej aniżeli Polacy. Jeżeli idzie o nasz przykład—anegdotę, to mogę powiedzieć, że została po prostu wyssana z angielskiego palca. Kiedy bowiem usadowiłem się na miejscowym terenie, od razu zacząłem sprawę badać źródłowo jako że interesowała mnie ona ze względów czysto folklorystycznych. Wynik troskliwych dociekań był, niestety, ujemny. Nawet najstarsi ludzie nie pamiętali takich wypadków. Doszedłem do przekonania, iż była to typowa, perfidna propaganda angielska, podyktowana nie tylko sarkazmem w odniesieniu do przekonań religijnych, ale zaprawiona czysto politycznym smakiem!

Z okazji tych samodzielnych badań zabrnąłem raz na bardzo głęboką prowincję. Nie wiem jak to się stało, że znalazłam się w typowo wiejskim „pub'ie", który służył zarazem jako sklep korzenny, delikatesów, towarów żelaznych etc. Szybko włączyłem się w ogólny rozgwar. Naraz odezwał się dzwon z pobliskiego kościoła parafialnego. Na Anioł Pański. Angelus. Gwar zastygał nagle w ciszę. Kto miał — zdjął kapelusz z zakurzonej lekko czupryny. Ten i ów przeżegnał się, ten i ów szeptał słowa modlitwy, a dzwon dzwonił powoli, miarowo, spokojnie. Kiedy umilkł ostatni dźwięk, karczma wróciła do normalnego życia. — Muszę się przyznać, że byłem tą sceną zaskoczony i dziwnie poruszony. Kiedy później układałem sobie wrażenia tej wizyty, doszedłem do przekonania, iż w tym odruchu religijnym jest coś spontanicznego i coś, co tkwi głęboko w tajemniczych złożach katolickiej duszy Irlandczyka, która tak nagle potrafi oderwać się od ziemi i chociaż na czas jednej Zdrowaśki zatopić się w rozmyślaniach o wieczności.

Zdaje mi się, że doszedłem nareszcie do właściwego tonu, w którym mogę spokojnie rozważać sprawę religijności irlandzkiej. Po tych przypadkowych wyprawach do karczem, musimy odwiedzić chociaż kilka kościołów. „Musimy" jest w naszym wypadku najlepszym określeniem — ponieważ katolik irlandzki m u s i chodzić do kościoła. Nie z zewnętrznego, ale z wewnętrznego musu.

Żeby bliżej naświetlić tę sprawę, zacznę od przypadku, bo przypadkiem była wizyta, jaką Dublinowi złożyli trzej moi przyjaciele polscy z Anglii: ksiądz M., Paweł oraz pan Stanisław. Poza mną, na stacji kolejowej przywitał ich typowo irlandzki „kapuśniaczek", który w ciągu nocy rozwinął się we wcale obiecujący, wspaniały, równy deszcz. Nie było wobec tego innej rady, jak odłożyć zwiedzanie kościołów do wieczora, który „might be better." Pomysł oglądania architektury w półmroku czy w świetle elektrycznym — nie wydawał mi się najlepszym. O k a z a ł się jednak najlepszym. Tak się złożyło, iż impreza oglądania świątyń w tych warunkach była nadzwyczajnym sukcesem. W powszedni dzień tygodnia zobaczyliśmy kościoły dublińskie od ich nadzwyczajnej strony. Niespodziewanie schwyciliśmy ich życie na gorącym uczynku. Mniejsza o to, iż wyszło to na niekorzyść architektury.

Było po godzinie szóstej wieczorem. Zapchany jak ul kościół Karmelitów mruczał monotonnym, skandowanym rytmem modlitwy Różańcowej, w którym głos siwego Karmelity zlewał się w nieprzerwaną całość z głosem kościoła zatopionego w przymglonym półświetle.

Pro-katedra była prawdziwym zaskoczeniem. Olbrzymia nawa zapełniona po brzegi... dziewczętami. Najstarsza nie miała chyba dziesięciu lat. Kilka zakonnic i starszych pań krząta się pomiędzy ławkami, pilnując porządku wśrod tej tysięcznej gromadki dziewcząt. W chwili, kiedy wchodzimy do świątyni nielitościwy cerber-kościelny wyprowadza zapłakanego malca, usiłując mu bezkutecznie wytłumaczyć, że to jest godzina nauki „for girls only". Chłopcu widocznie żal, iż nie może przyłączyć się do chóru swych rówieśniczek, które właśnie w tej chwili zaczęły fałszować cudownymi dyszkancikami jakąś nabożną pieśń do Matki Boskiej, na skupioną i uśmiechniętą nutę. Ponad głowami dziatwy, na ambonie, ksiądz stał z rękami wyciągniętymi jak skrzydła, i tak jak mógł — panował swym basem nad płaszczącą i rozśpiewaną wrzawą. Kiedy wychodziliśmy z kościoła, nasz znajomy pięcioletni „mężczyzna" — wśród sporej gromadki chłopców — stał na stopniach katedry i... płakał.

Smukły, nowogotycki kościół na Phibsboro' słucha jakiegoś kazania czy nauki. Ludziska wciąż płyną na Nowennę jak na niedzielne nabożeństwo.

Już po godzinie siódmej zajechaliśmy na ulicę Dominika, żeby zobaczyć piękny Saint Saviour's Church. Przed wejściem spory tłum kobiet czeka spokojnie na deszczu. W westybulu wielki napis „men only" tłumaczy, dlaczego kobiety nie wchodzą do środka. Świątynia literalnie zatłoczona. Sami mężczyźni. Z ambony płomienny Dominikanin „każe" w sposób jasny i niezawodny na temat niebezpieczeństwa, jakie wierze katolickiej grozi ze strony międzynarodowego komunizmu. To miejscowa „confraternity" tej ubożuchnej dzielnicy Dublina odbywa swoje tygodniowe zebranie. Kazanie dopiero się zaczęło, a tłum kobiet na zewnątrz będzie czekał na deszczu aż się zakończy, bo wtedy wszyscy wejdą do świątyni na czas wystawienia.

Do kościoła Matki Boskiej Dobrej Rady zajeżdżamy w chwili, kiedy tłumy ludzi opuszczają świątynie po zakończeniu Nowenny. Wnętrze jeszcze pachnie wonnym kadzidłem Wystawienia. Opuszczając kościół, zaglądamy do „repository". I tutaj wcale ciasno. Ludzie kupują medaloniki, różańce, książeczki do nabożeństwa oraz katolickie pisma i broszury.

W ten niezwykły sposób „przelecieliśmy" coś około dziesięciu kościołów. Żaden z nich nie był przygotowany na wizytę moich gości z Anglii. Schwytany na gorącym, codziennym uczynku, każdy z tych kościołow manifestował swoją żywotność na modłę, która przynosi zaszczyt ojczyźnie świętego Patryka, która jest siłą tutejszego katolicyzmu.

Kiedy późnym wieczorem dzielimy się wrażeniami dnia, nie rozmawiamy o architekturze katolickich kościołów Dublina. Próbujemy natomiast zdać sobie sprawę z niemniej interesującego zjawiska, jakim jest architektura religijności irlandzkiej w ogóle. W każdym razie nie żałujemy naszej wyprawy w półmroku i po nocy. W tym świetle wiele rzeczy ukazało się nam o wiele jaśniej... — Osobiście nie mogłem odżałować, iż moi goście nie mogli pozostać dłużej, choćby do niedzieli, żeby zobaczyć religijność Dublina w jej odświętnej szacie, żeby zobaczyć tłumy wiernych „wymieniające się" sprawnie, bez oddechu, z nabożeństwa na nabożeństwo.

W piątek rano poszliśmy do najbliższego kościoła na „ósmową" jako że nasz ksiądz przystępował do Komunii świętej. I znowu ciasno. Ciasno nawet w malutkim westybulu. Jeden z księży odprawia nabożeństwo, drugi komunikuje w ciągu calutkiej Mszy św. Kiedy wychodzimy, Paweł zwraca się do mnie:

„Czegoś podobnego nie widziałem w życiu! Zdawało mi się, że z wyjątkiem ciebie i mnie, cały kościół przystępował do Komunii świętej."

Tak, takie rzeczy zdarzają się tutaj często, w zwyczajne dni tygodnia. To niemal codzienne zjawisko. I znowu mi żal, że nie mogliśmy zobaczyć „prawdziwej" spowiedzi. Takiej na przykład, do której — z okazji święta Wniebowzięcia M. B. — sam arcybiskup Dublina zachęcił specjalnym listem pasterskim. Pamiętam, w trzech kościołach sytuacja była „rozpaczliwa" dla człowieka, który spieszył się. W czwartym zrezygnowałem dalszego szukania i... stanąłem w ogonku, który wydawał mi się najmniejszy. A ludzie wciąż płynęli do świątyni i słychać było tylko skrzyp zamykanych i otwieranych drzwi dwunastu konfesjonałów...

Nieraz głowiłem się nad tym niezwykłym zjawiskiem, usiłując sobie wytłumaczyć p o w s z e c h n o ś ć zewnętrznych przejawów religijności na tutejszym terenie. Dla uproszczenia nazywam je zewnętrznymi przejawami, ponieważ nie mam ani prawa ani tytułu, żeby mówić o ich natężeniu czy głębi. Mogę się ich tylko domyślać na zasadzie nieodpartego wnioskowania. To, co oglądam tutaj od trzech lat, pozwala mi w każdym razie na pewne uogólnienia, jeżeli idzie o religijność irlandzką od strony jej zewnętrznych przejawów. I chociaż do dziś nie rozumiem jeszcze wielu rzeczy, zdaje mi się, że znalazłem odpowiedź, która — jeżeli nie jest trafna — jest przynajmniej dość bliska prawdy. Katolicyzm irlandzki posiada wszelkie cechy dyscypliny religijnej. Wszystko jedno, z czego ta d y s c y p l i n a bierze swój początek. Może to być trady-

cja, która tak dumnie się chlubi całą litanią świętych irlandzkiego pochodzenia? Może to jest szkoła, która tak surowo i gruntownie wdraża zasady p r a k t y k o w a n i a religii? Może to jest atmosfera domu rodzinnego, który nie zatracił jeszcze swoich katolickich wartości wśród sprzecznych prądów współczesnych, które propagują i praktykują idee emancypowanych związków małżeńskich? Może to wynik ciężkich doświadczeń z walk o niepodległość, wynik ciągłego ścierania się z żywiołem protestanckim, wynik religijnej niechęci do protestanckich Anglików w ogóle? Może to duch rywalizacji między „antypapistowskim" Belfastem, a gorliwym papizmem Dublina? Może rezultat zorganizowanej pracy katolickiego kleru irlandzkiego? A może opieka świętego Patryka, który kiedyś miał podobno przepędzić wszystkie złe węże w Hibernii?... A może to łaska Matki Boskiej Różańcowej, do której katolicy irlandzcy mają tak szczególne nabożeństwo?...

Wszystko jedno skąd. Chodzi przecież nie o wykrywanie tak bardzo złożonych źródeł religijności, ale o prosty fakt, że religijność ta istnieje, żyje. Jakiekolwiek są czy były jej źródła, dziś jest to dyscyplina, która przejawia się na zewnątrz jako siła oraz manifestuje się z tą samą żywotną pasją, z jaką wybucha czasem żywiołowy irlandzki... nacjonalizm. Charakter ten dało by się określić jako typowy ortodoksizm wyspiarski, jeżeli takie pojęcie w ogóle istnieje. Określenie „I am a Catholic" posiada dla Irlandczyka ten sam ładunek wartości uczuciowej, co dumne stwierdzenie: „I am Irish, and proud of it".

Sceptyczny katolik kontynentalny mógłby w tej dyscyplinie dopatrywać się cech średniowiecznego prymitywu czy rutyny. Takie wrażenie robią Irlandczycy, którzy jeżdżą do Rzymu na Rok Święty, żeby otrzymać odpust zupełny. Takie wrażenie mógłby odnieść widz, który ze zdumieniem ogląda tysiące dublińczyków cisnących się w dzień św. Błażeja do kościoła Franciszkanów, gdzie odbywa się tradycyjne święcenie czerwonej flanelki, która ma chronić przed chorobami gardła. Osobiście nie widzę żadnej różnicy między tymi przejawami a przedziwnym instynktem, który pędzi tysiączne rzesze wiernych na Nowennę do kościoła Our Lady of the Angels. Wydaje mi się, że byłoby krzywdą odsądzać od wartości nawet formalistyczną rutynę, jeżeli wypływa ona z serca oraz manifestuje wiarę.

Katolicyzm irlandzki posiada jeszcze inną cechę, o której nie wolno nam zapomnieć. W przejawach zewnętrznych religijność tutejsza jest zjawiskiem demokratycznym. Nie ma tu rażących różnic pomiędzy religijnością wiejską a miejską, nie ma form religijności osobnej dla prostaczków i dla inteligenta. Jest tylko ta forma, którą z polska można by nazwać religijnością prostaczków. Religijnością ludzi, którzy klękają w kościele na obydwa kolana bez względu na stan.

* * *

Nie przypuszczam, że ktoś posądzi mnie o sentymentalne mazgajstwo, jeżeli zakończę artykuł ostrzeżeniem. Będzie to raczej wytłumaczenie tego, co na wstępie pisałem o „trudnościach asymilacyjnych w tej dziedzinie". Oto przyjacielska rada: Jeżeli któryś z Polaków zdecyduje się na wybranie sobie żony spośród katoliczek irlandzkich, niech się dwa razy namyśli — „think it twice" — czy będzie w stanie co miesiąc chodzić do spowiedzi oraz codziennie odmawiać Różaniec... Żadnych innych oporów nie będzie. Może tylko ten, że żona jego będzie płakać nad nieznaną drugą ojczyzną kościołów... Najlepiej nic nie odpowiadać. Bo przecież kościoły są wszędzie takie same, choć jeden może być w Sandomierzu, a drugi w Dublinie. I ten w Sandomierzu nawet ładniejszy, bo stoi nad Wisłą.

Wiesław Pisarczyk

O. AGOSTINO GEMELLI

KINO A PSYCHOLOGIA

W numerze 5-tym „International Film Review" ukazało się interesujące studium o. Agostino Gemelli, O. F. M., przewodniczącego Papieskiej Akademii Nauk i rektora Uniwersytetu Serca Jezusowego w Mediolanie. Artykuł ten dajemy niżej w wolnym streszczeniu.

UCZĘSZCZANIE do kina stało się obecnie tak powszechnym zwyczajem, że ludzie myślący często zadają sobie pytanie, jaki wpływ mają i będą mieć filmy na kształtowanie życia człowieka? Spotykamy się zazwyczaj z trzema rodzajami odpowiedzi.

Zdaniem jednych człowiek nowoczesny modeluje swe życie, sposób zachowania, ubierania się i działania, ba, nawet smak i styl mówienia według wzorów, oglądanych na ekranie, podpatrywanych u ulubionych aktorek i aktorów.

Według innych producenci filmów dążą do tworzenia takich dzieł, które by mogły przyciągnąć uwagę coraz liczniejszych klas społeczeństwa, a jednocześnie wybierają przedmioty, postaci i środowiska, których pokazanie na ekranie będzie ściągało do kin jak największe masy widzów. Producenci rozumieją, że istnieje ścisły związek pomiędzy dzisiejszym społeczeństwem i kinem. Ten punkt widzenia jest sprzeczny z pierwszym poglądem: tu mamy twierdzenie, że to społeczeństwo — za pośrednictwem dyrektorów i reżyserów — domaga się filmów dostosowanych do smaku i wymagań dnia dzisiejszego i do potrzeb społecznych.

Wreszcie trzeci kierunek twierdzi, że rzeczywistość filmu nie polega na tym, co film portretuje i co przedstawia, lecz na indywidualnej treści, którą widz podkłada pod obrazy przesuwające się na ekranie, włączając w nie siebie samego — swoje własne ja. Według tego poglądu, badając rzeczywistość filmową, nie możemy zajmować się samymi filmami. Musimy je studiować pod kątem projekcji zainteresowań widza, jego upodobań i stanów uczuciowych. Wchodzi tu w rachubę wyżywanie się (przy oglądaniu filmu) podświadomych i świadomych tendencji osobowości widza.

Nie można zaprzeczyć, że istnieją podstawy do przyjęcia każdego ze streszczonych wyżej sposobów rozważania problemu. Teoretycy filmu — jak Pudowkin, Cohen.-Séat, Allendy, Zazzo, Wallon i in. — szli we wszystkich tych trzech kierunkach. Cechą wspólną tych, zresztą bardzo różnorodnych, dociekań jest usiłowanie znalezienia odpowiedzi na pytanie dlaczego lub w jaki sposób filmy budzą tak wielkie zainteresowanie publiczności — znacznie silniejsze niż teatr, muzyka, radio, czy jakikolwiek inny rodzaj rozrywki kulturalnej. Dla nas, katolików, wykrycie motywów tego zainteresowania ma kapitalne znaczenie, gdyż tą drogą możemy dojść do wskazań, co należy uczynić, aby zainteresowanie kinem było owocne w sensie dobra — przeszkodzić natomiast czynieniu filmów źródłami zła.

Już za czasów filmu niemego ustalono, że stan psychiczny widza w czasie seansu filmowego przypomina w bardzo znacznym stopniu sytuację śniącego w marzeniu sennym. Zmiejszenie odporności własnego „ja", zanik zmysłu krytycznego, albo jego przyćmienie, projekcja własnych zainteresowań i treści wewnętrznych na oglądane obrazy, widzenie siebie samego w epizodach, w postaciach i w całej akcji — oto cechy charakterystyczne tego stanu.

Obecnie jednak, gdy technika i sztuka filmu dźwiękowego zyskały nowe środki ekspresji, charakterystyka powyższa wymaga znacznego rozszerzenia.

Przy rozpatrywaniu różnych dzieł filmowych uderza fakt, że najbardziej interesują szeroką publiczność i podobają się filmy, które w analizie psychologicznej postaci i w przeciwstawieniu akcji operują sugestiami i napomknieniami, a nie wykładaniem wszystkiego na stół — słowem te, co unikają „łopatyzmu", nużącej oczywistości, jednoznaczności filmowego tekstu (czyli ruchomego obrazu z mową i dźwiękiem). Nie znaczy to, że analiza psychologiczna nie została przeprowadzona przez reżysera — chodzi o to, że reżyser postarał się, aby nie była oczywista dla widza.

Z punktu widzenia psychologicznego sztuka reżyserii polega na pokazaniu widzowi żywych osób. Osoby te działają, mówią i zachowują się w ten sposób, że nie tylko są obecne, ale w pewnym sensie *narzucone* widzowi. Jednocześnie widz, odbierając dzieło filmowe, nie odczuwa go jako coś oglądanego, lecz wżywa się w pokazanych ludzi, w akcję i w tło obrazu jak w rzeczywistość, w której sam się znajduje. Pod tym względem widz kinowy różni się zasadniczo od teatralnego: nie znajduje się na zewnątrz tego, co dzieje się na ekranie. Przeciwnie, jest obecny, uczestniczy w pokazanym następstwie wydarzeń.

Oto prosty przykład. W pewnym momencie filmu widzimy na ekranie pusty pokój. Na stole leży porzucony przez bohatera list. Ten przedmiot przez prosty symbolizm pokazuje nam (t. j. widzom), że osoba, której charakter i działania znamy już z poprzednich epizodów, była w tym pokoju i wykonała tam pewną czynność (zostawiła list), mającą swoje miejsce w następstwie wydarzeń. A zatem mamy tu do czynienia z pewną przestrzenią (pokój), ale nie zwykłą, lecz nasyconą czasem w którym coś się stało. Wiemy o tym, choć inne osoby grające w filmie nie wiedzą i działają bez świadomości tego faktu (w naszym przykładzie pozostawienia listu przez X-a). A więc w filmie rzeczy nie są martwymi przedmiotami: w pewnym momencie mają specjalne znaczenie. Mnożąc podobne przykłady można udowodnić, że film opowiada nawet o wydarzeniach, których wcale nie pokazuje — czego nie może dokonać ani malarstwo, ani rzeźba, ani poezja czy powieść. (Jest to pogląd autora studium, który można przyjąć tylko z pewnym zastrzeżeniem. Mianowicie dobra proza i poezja może osiągnąć takiż efekt, choć w znacznie mniejszym zakresie. Przyp. tłumacza).

Analiza utworów filmowych prowadzi nas dalej do drugiej ważnej obserwacji. Pokazując nam różne wydarzenia, film pozostawia widzowi swobodę ich interpretacji, ich zrozumienia, wykrycia ich sensu i znaczenia. Nie ma na sali reżysera, który by mu powiedział co dzieje się na ekranie. Różnica pomiędzy wczesnym filmem dźwiękowym, a dziełem nowoczesnym (to znaczy nasyconym psychologią) polega na tym, że w tym pierwszym głos oświadczał nam co mamy widzieć. Czynił to reżyser przez usta aktorów. W dzisiejszym filmie dźwiękowym mamy epizody, którym towarzyszy tylko pojedyńczy dźwięk — bicie zegara, szmer fontanny, trzaśnięcie drzwiami. Nowoczesny reżyser nauczył się sztuki dopomagania widzowi w wykryciu treści i znaczenia akcji przez użycie jakiegoś drobiazgu, czasem po prostu nikłego dźwięku lub szmeru. W dzisiejszym filmie widz ma tak wielką swobodę, że może wielorako interpretować to co widzi i słyszy. Właśnie ta swoboda interpretacji stwarza zainteresowanie filmem. Widz jest wciągnięty w akcję filmu, sam gra w nim rolę, przeżywa go tak, jak przeżywa wydarzenia rzeczywiste, w których uczestniczy osobiście. Widz nie jest bierny. Jego odbiór i udział posuwają się tak daleko, że często zapomina o fikcyjności tego, co dzieje się na ekranie. To uczucie jest tak silne, że nie ma potrzeby dawania obrazom filmowym głębi przestrzennej: wystarczy, że przedmioty, ludzie i tła posiadają właściwy kształt i kolor (choć w filmach czarno-białych nawet brak koloru nie przeszkadza takiemu odbiorowi — przyp. tłum.).

Dla pełnego odbioru filmowego ważne jest, aby widz miał stale przed oczami jakąś akcję, w którą sam jest wciągnięty, którą musi przeżyć tak jak w rzeczywistości. Musi on być trzymany w stanie napięcia, niepewności, cierpienia, albo radości — tak jak w życiu. Postaci filmowych nie przedstawia się widzowi (w dobrych filmach) w ten sposób, jakby miały nalepione etykietki ze swymi nazwiskami i napisy zapowiadające, co zamierzają uczynić. Widz sam musi pojąć dlaczego są takie, a nie inne, musi niejako przeniknąć ich życie, zrozumieć znaczenie tego, co robią i domyślić się faktów, które nie są pokazane — zdarzeń z przeszłości, a nawet przyszłych, na które wskazuje jakiś gest, sytuacja lub martwy przedmiot.

Na początku filmu widz nie wie nic o postaciach i świecie, w którym żyją. Sztuka reżysera polega na tym, aby stopniowo, przy nadarzających się okazjach niepostrzeżenie nasycić widza świadomością kim są, jakie są te osoby, w jakim obracają się otoczeniu — słowem przepoić go wiedzą o faktach nie pokazanych na ekranie, ale mających znaczenie dla tego co się stanie. W pewnym momencie akcja postaci filmowych porywa widza. Od tej chwili wżywa się on w działania bohaterów, uczestniczy w ich radościach i smutkach. Czym większy talent reżyserski, tym szybciej następuje to zespolenie widza z losami bohaterów.

Jeśli chodzi o realizm w filmie, to wszystkie zalecenia i formułki zmierzające do znalezienia właściwej jego miary, sprowadzają się do zrozumienia jednej rzeczy i przestrzegania jednego warunku. Widzowi trzeba dać możność pozaświadomego analizowania tego, co odbywa się na ekranie i to w tym stopniu, aby mógł dojść do własnej syntezy. Dlatego film jest dobry (a zatem i interesujący), jeśli może być przeżyty przez widza — z samodzielną interpretacją występujących w nim postaci, z przejęciem się ich losami, słowem z włączeniem się w akcję filmu. W związku z tym film bardzo interesujący dla widza na pewnym stopniu kultury i o pewnych określonych dyspozycjach i poglądach, może być nudny, a nawet absurdalny dla osoby o innym poziomie i innych przekonaniach.

Znaczenie i specyficzna psychologia filmu do się wyjaśnić drobnym przykładem. Jeden z bohaterów filmu wykonywa gest, którego — jak wynika z akcji — nie widzą inni bohaterowie. Ale ja widzę ten gest i to spostrzeżenie daje mi możność interpretacji, zmusza mnie do niej. W ten sposób rzutuję poza siebie — na bohatera z ekranu, w akcję filmu — moje własne uczucie, moje upodobania, moje pragnienia — krótko mówiąc moje „ja", w szczególności moje podświadome *ego*. Wartość i siła filmu polegają na stworzeniu warunków, które wywołują ten skutek.

Te rozważania prowadzą nas do wniosku, że film jest czymś znacznie bogatszym od obrazów, z których się składa. Jest czymś zupełnie innym, gdyż angażuje organy innych zmysłów i to często w różnych kierunkach. Gdy bohater działa w jednym kierunku, dźwięk może mówić nam o innym i ta rozbieżność zmusza widza do znalezienia własnej drogi — własnego zrozumienia akcji. Ta aktywność widza stwarza zainteresowanie filmem: po jego zakończeniu widz może powiedzieć np: „stało się właśnie tak, jak przewidziałem".

Postaci filmu grają swe role, ale nie wiedzą co nastąpi — tak jak w życiu. Natomiast widz, sam wmieszany w akcję (do tego stopnia, że uczestnicy w niej, ale nie tak, aby nie pozostawać poza nią) przewiduje (lub usiłuje przewidzieć) koniec i już na zapas cieszy się z sukcesu, czy „happy endu", lub smuci się tragicznym zakończeniem. W ten sposób widz jest i w filmie, i poza nim, i nad nim. Słowo „koniec" powinno następować w filmie w tym momencie, gdy widz w naturalny sposób wydobywa się ze stanu zbliżonego do marzenia sennego: ani za wcześnie, ani za późno. Znalezienie tego miejsca jest wielką sztuką.

Cała sztuka psychologiczna reżysera zasadza się na znajomości wyłuszczonych tu punktów, w szczególności zaś na umiejętności operowania niedomówieniami, umożliwiającymi widzowi uczestnictwo w akcji aż do końca i znajdywanie — w zgodzie z własną interpretacją — właściwego następstwa faktów. To właśnie daje mu możność widzenia w filmie samego siebie — rzecz jasna nie w każdym filmie, lub nie w każdym momencie filmu.

Pod względem wyżywania własnego ja, własnej podświadomości, film przejął rolę, którą odgrywała powieść w pierwszej połowie XIX wieku. Nie znaczy to, że zastąpi powieść. Faktem jest jednak, że przez swe szczególne właściwości film jest w stanie w stopniu znacznie większym ucieleśnić subiektywne stany odbiorcy niż czyni to powieść.

Oto fakty psychologiczne, które ułatwiają nie tylko wydanie sądu o poszczególnych dziełach filmowych, ale także rozważenie środków prowadzących do uczynienia z filmu czegoś więcej, niż rozrywki.

Streścił Stanisław Pałęcki

Co by powiedział św. Jan z Ars?

CO by powiedział św. Jan z Ars, który za swego życia z takim natężeniem sił i niezmierną surowością tępił, srogo tępił, zabawy i tańce — na oświadczenie pewnego franciszkanina irlandzkiego o powodach wyludniania się Irlandii?

Trzy tygodnie temu o. Felim O'Briain mówiąc na ten temat oświadczył, że chociaż główny powód jest niezmiennie ten sam — warunki ekonomiczne, to jednak nie brak przyczyn innych, również ważnych. A największą z tych drugorzędnych przyczyn jest brak zabaw po wsiach. Skutek jest taki, że młodzi mają zbyt mało okazji do poznawania się i chłopi, mający nawet środki na założenie i utrzymanie rodziny, nie żenią się. Zabawy i dlatego są konieczne, twierdzi zakonnik, że młode dziewczęta, które w miastach przywykły do pewnych form rozrywek, nie wyobrażają sobie życia na wsi, w czasie długich zimowych wieczorów. Perspektywa nudy jest zbyt przerażająca. Dlatego ich tak wiele wyjeżdża do Anglii.

Dlaczego o tym pisać, zdziwi się czytelnik? Przecież nic w tym „wstrząsającego". Niewątpliwie. Ale w tej Irlandii dziwny jest podział ról. Zakonnik czyni zagadnienie ogólnonarodowe ze sprawy dostatecznej ilości rozrywek, a np. człowiek świecki, prezydent jednego z uniwersytetów tego kraju, osobiście wymierzał latem karę £1 każdej studentce, którą na terenie uniwersytetu przydybał bez pończoch...

Słowem, potwierdza się prawda odwieczna: najbliżej życia stali i najlepiej wyczuwali jego praktyczne strony zakonnicy. Nawet pustelnicy i eremici. Toteż wiedziony trafnym instynktem chrześcijańskim lud w dawnych wiekach porywał pustelników z odosobnienia (jak np. św. Remigiusza) i obwoływał ich biskupami, a ludzie wszystkich warstw z cesarzami włącznie przychodzili po rady w sprawach tak duchowych jak i najbardziej świeckich do, zdawało by się, ludzi najdalej „od życia" odsuniętych: do słupników, modlących się dziesiątkami lat na uboczu świata.

jt

JAN TOKARSKI

IRENIZM

CZYLI NAJPIERW TO, CO DZIELI

PARĘ polskich wypowiedzi dotyczących „Humani generis" odznacza się niebezpieczną tendencją do pomniejszania wagi tej encykliki przez chęć zaklęcia jej w łatwą, szybką formułkę, zaklęcia jakimś magicznym słówkiem-mitem, które by ujęło jej zawartość. Tym zaklęciem stał się odmieniany przez niektórych katolików w mnóstwie przypadków termin: i r e n i z m. A więc cała encyklika ma być rzekomo potępieniem n o w e g o błędu współczesności, irenizmu, polegającego na zacieraniu wyraźnych granic katolickich celem, mówiąc językiem potocznym, „dogadania się" wszystkich ludzi dobrej woli w sprawach jakiegoś poglądu „wspólnego", pan-chrześcijańskiego (jak to nazwał już Pius XI w encyklice „Mortalium animos"), bez względu na to gdzie, po której stronie podziału, ludzie ci się znajdują. W ujęciu tych pośpiesznych interpretatorów papieskiego dokumentu irenizm urasta do rozmiarów najbardziej złowrogiego obłędu czasów dzisiejszych, rodzącego wszelki bezład umysłowy i społeczny, a nawet polityczny i tak groźnego dla samych podstaw chrześcijaństwa, że aż Papież czuł się zmuszony poświęcić całą encyklikę temu niebezpieczeństwu. — Powiedzmy od razu, że taki sąd o „Humani generis" można sobie wytłumaczyć chyba tym, że jego kolporterzy nie zadali sobie trudu przemyślenia i przeczytania encykliki.

Cóż to jest ten irenizm? Irenizm, od greckiego słowa: eiréne oznaczającego: pokój, jest, biorąc z grubsza, tym samym, co ekumenizm, czyli ruch wśród odłączonych chrześcijan głównie zachodnich, mający na celu połączenie się rozbitych na niezliczone sekty grup wyznaniowych w jeden Kościół. Jak wiemy, symoblem Kościoła jest cała, niezszywana szata Zbawiciel. Ekumenizm zakłada sobie jako cel utkanie z powrotem tej szaty, porozdzieranej w ciągu wieków przez schizmy i herezje. O tym kierunku nieraz była w ŻYCIU mowa i irenizmowi był poświęcony zeszłoroczny dekret św. Oficjum, który omówiliśmy obszernie w artykule p. t. „Nowy dokument w nrze 14/145. Ruchem irenistycznym, czyli ekumenicznym zajmuje się wspomniana wyżej znana encyklika Piusa XI „Mortalium animos" wydana w r. 1928 w uroczystość Trzech Króli. Mówi w niej Papież o właściwych podstawach jedności i o stosunku katolików do unionizmu, bo i tak również nazywa się ruch za połączeniem Kościołów. A więc: ekumenizm, irenizm, unionizm. Z tym że irenizm jest raczej odpowiedzią kół k a t o l i c k i c h na ekumenizm i raczej m e t o d ą (bardziej psychologiczną i kulturalną niż teologiczną), pokojowego omawiania i załatwiania spraw; ale i ekumenizm chętnie posługuje się nazwą irenizmu.

Ekumenizm pragnie p o s z u k a ć Kościoła, znów „założyć" j e d e n Kościół, Unam Sanctam, za pomocą wzmacniania więzów jedności i braterstwa pomiędzy poszczególnymi wyznaniami, by wypełnić żądanie Chrystusa, zawarte w Jego modlitwie arcykapłańskiej w wieczerniku: *ut unum sint:* — aby jedno byli. Pewien wybitny katolicki irenista napisał przed dwoma laty, że jest w tym ruchu niewątpliwie tchnienia łaski Ducha św. I stosunek katolików do ekumenizmu winien być życzliwy; powinniśmy posiadać to, co jeden z teologów belgijskich nazwał „zbliżeniem psychologicznym", un rapprochement psychologique. Z jednym wszakże, wśród różnych możliwych, zastrzeżeniem: ten ruch za jednością tak długo jest nam miły i bliski, dopóki nie mówi o *szukaniu* Kościoła, który ma się dopiero wyłonić, w wyniku wspólnych narad chrześcijan różnych odłamów, po uzgodnieniu nauki i „krytycznym" przeglądzie dogmatów, aby przyjąć istotne, a „nieistotne", oczywiście, odrzucić... My nie potrzebujemy szukać Kościoła, bo wiemy że istnieje on od Zielonych Świąt chrześcijaństwa, że jest nie tylko Una Sancta, ale Una, Sancta, Catholica et Apostolica Ecclesia. Wiemy też, że ten Kościół nie odrzucił nikogo od siebie, ale że odeń odeszli sami kiedyś, w ciągu wieków ci, których potomkowie szukają go teraz, po 19 wiekach jego istnienia.

Początek nowoczesnego ruchu ekumenicznego — nowoczesnego, bo jako fakt ruch ten istniał już ledwo tylko rozdziały stały się faktem — sięga roku 1910, kiedy to w Edynburgu odbył się światowy kongres protestanckich stowarzyszeń misyjnych. Za pozytywną i stałą cechę ruchu, jak stwierdza benedyktyn Dom C. Lialine (redaktor kwartalnika „Irenikon") należy uważać rosnącą wśród poszczególnych Kościołów odłączonych świadomość błędów, sprzeciwiających się jedności.

Zrazu chciano osiągnąć upragnioną jedność na terenie życia i działania (Life & Work), a więc w dziedzinie chrześcijańskiej moralności społecznej, nie biorąc pod uwagę różnic doktrynalnych, jakie istnieją pomiędzy poszczególnymi wyznaniami. Ale właśnie samo — życie i działalność praktyczna wykazują, że zawsze tam, gdzie odrzuca się to, co dzieli, a przyjmuje tylko to, co łączy, jedności nie da się osiągnąć nigdy. Toteż powstała inna gałąź ekumenizmu pod nazwą Faith & Order (co możnaby przetłumaczyć jako Wiara i Instytucja, Konstytucja, określony ład). Jej celem jest stanąć na gruncie wyraźnej doktryny chrystologicznej i dojść do zgody na polu jasno ujętej nauki chrześcijańskiej, przy podkreśleniu z całą „lojalnością ale i z jednoczesnym wzajemnym zrozumieniem tak różnic jak i punktów stycznych". W roku 1938 obie gałęzie utworzyły wspólną radę ekumeniczną (World Council of Churches; językiem ekumenizmu jest angielski), której pierwszy kongres, z powodu wojny, odbył się dopiero w 10 lat później, w 1948 r. w Amsterdamie, (o czym, w swoim czasie, w ŻYCIU pisaliśmy).

Rzecz zrozumiała, że Stolica św. udziału w tych obradach nie bierze, choć te poczynania obserwuje życzliwie. Kościół przejął wszakże styczniową oktawę modłów o jedność chrześcijan, zapoczątkowaną przez pastorów anglikańskich i wydał ze swego łona wielu apostołów irenizmu, żeby choć wspomnieć wielkie postaci kard. Mercier, O. Portal, O .Congar O.P. Można by zebrać ładną wiązankę serdecznych wypowiedzi sekretarzy stanu i Papieży od kard. Rampolli i Leona XIII poczynając, w sprawie działalności mającej na celu zbliżenie do chrześcijan oddzielonych. Bo obok irenizmu fałszywego istnieje irenizm prawdziwy, chrześcijański, a jeśli ktoś nie chce na ten temat czytać licznych prac specjalnych, ani nawet... samej encykliki, niech zajrzy przynajmniej do niedawnego artykułu p. t. „Sull'irenismo cristiano" w „Civiltà Cattolica" w nrze 2405 z 2 września b.r., a więc już po wydaniu encykliki. Nie wolno więc twierdzić — chyba tylko za cenę kolportowania rzeczy niezgodnej z prawdą — że „Humani generis" = potępienie irenizmu. Bo 1) irenizm jest w niej jednym wśród w i e l u i n n y c h błędów potępionych przez Papieża; 2) bo są w niej sprawy znacznie ważniejsze; 3) bo znajduje się w niej, mianowicie, zasadniczej wagi część pozytywna, nakazująca pogłębione stadium w s z y s t k i c h odchyleń i błędów współczesności; wzywająca do „gruntowniejszego przystosowania i przemyślenia prawd filozoficznych albo teologicznych" oraz do „należytego przystosowania nauk kościelnych i metod do współczesnych warunków i potrzeb przez wprowadzenie pewnych zmian w programie nauczania"; mówiąca o znaczeniu filozofii tomistycznej i głosząca wspaniałą apologię rozumu; 4) bo jest w encyklice potępiony nie irenizm jako taki, lecz irenizm fałszywy, reprezentowany przez tych teologów, którzy „sądzą, pod wpływem *fałszywego* irenizmu, że można przyprowadzić z powrotem na łono Kościoła dysydentów i zbłąkanych, nie podawszy wpierw sumiennie prawdy całkowitej panującej w Kościele, bez zniekształceń i uszczerbku". Oto istotny fragment encykliki:

„Zauważa się jeszcze i inne niebezpieczeństwo — pisze Ojciec św. — i to tym groźniejsze, że pokryte pozorami szlachetności. Wielu bowiem uboiewając nad sporami i zamieszaniem myślowym panującym wśród ludzi, pod wpływem nierozważnej gorliwości duszpasterskiej i ulegając nieokreślonym porywom, pragnęliby gorąco i usilnie obalić mury rozgraniczające ludzi prawych i uczciwych. Głoszą zatem irenizm, to jest — ażeby usunąwszy na bok sprawy sporne dzielące ludzi, starać się nie tylko zresztą o zwalczanie zjednoczonymi siłami groźby ateizmu, ale nawet o uzgodnienie przeciwieństw w kwestiach dogmatycznych. I jak swego czasu zarzucono, że metody apologetyki kościelnej w ujęciu tradycyjnym są raczej przeszkodą niż pomocą dla zdobywania dusz Chrystusowi, podobnie i dziś nie brak wysuwanych poważnie dyskusyj — zbyt daleko posuwających się — nad potrzebą nie tylko z resztą udoskonalenia metod i programu teologii, obowiązujących w uczelniach duchownych z rozporządzenia władz kościelnych, ale i zreformowania ich w celu skuteczniejszego szerzenia Królestwa Chrystusowego w każdym kraju, wśród ludzi różnych kultur i różnych przekonań religijnych.

„Nie było by prawie podstaw do obaw, gdyby chodziło o należyte przystosowanie nauk kościelnych i ich metod do współczesnych warunków i potrzeb przez wprowadzenie pewnych zmian w programie nauczania. Niestety, wydaje się, że niektórzy nieroztropni gorliwcy irenizmu za przeszkody do odzyskania braterskiej jedności uważają to, co wynika z praw i zasad danych przez Chrystusa oraz z instytucyj, przez Niego założonych, lub stanowi obronę i ochronę nienaruszalności wiary. A to wszystko gdyby się zachwiało, nastąpiło by wprawdzie połączenie, ale tylko we wspólnej ruinie".

Papież wymienia powody natury najbardziej zasadniczej, których p o c h o d n ą jest fałszywie pojęty i stosowany irenizm. Bo pomimo jego niebezpieczeństwa na polu metafizyki i teologii, trzeba sobie zdać sprawę, że irenizm nie jest, jak to niektórzy sugerują, przyczyną, lecz *skutkiem* wielu istniejących odchyleń, zboczeń i błędów, cechujących umysłowość wspóczesną, a także — i z tego również jako katolicy musimy sobie zdać sprawę - - zastoju panująceg wśród wielu prononsowanych teologów filozofów katolickich, którzy, jak to napisał przed paru laty jeden z tomistów — uczynili sobie ze św. Tomasza taran przeciwko wszelkiemu postępowi teologicznemu i filozoficznemu w źle zrozumiałym poczuciu zabezpieczenia prawdą.

Pokazało się naprzykład w dyskusjach z czołowymi osobistościami t.zw. nowej teologii, (a encyklika statnia z nią się właśnie rozprawia) — z ojcami de Lubac, Daniélou Bouillard, że przedstawiciele teologii „prawowiernej" np. dominikanie Garrigou-Lagrange, Labourdette, Bruckberger i in. bijąc jezuitów francuskich dialektyką, siłą rozumowania, logiką, precyzją pojęć, nic są jednak zdolni podjąć dyskusji na terenie powiązań dogmatu z historią, kulturą i licznymi aspektami społecznymi.

Główne błędy współczesności — to iracjonalizm, niechęć a nawet jawny wstręt do jasnych pojęć i rozumowego poznawania prawdy, nad co przedkłada się proces intuicyjnego „przylegania" do jej (rzekomo) zmiennego w każdym pokoleniu kształtu, zaprzeczanie niezmiennym istotom rzeczy, odrzucanie pojęć i rzeczywistości absolutnych, stałych i niepodlegających zmianom, a zajmowanie się tylko egzystencją poszczególnych jednostek, zanegowanie pewności poznania i t. d. Tym błędom uległo wielu teologów katolickich i, dodajmy, teologów najświetniejszych, głównie, choć nie wyłącznie przedstawicieli tego kraju, który, jedyny dziś, chce myśleć w Europie: Francji. I te błędy zmąciły teologom katolickim pogląd na tendencje zjednoczeniowe wśrod protestantów. Z jednej strony zapomnienie o różnicach istotnych, jakie ludzi dzielą, a z drugiej chęć serdecznego wyjścia naprzeciw tym, którzy szukają, doprowadziły do zupełnie fałszywego przekonania, że spotkanie może nastąpić w pół drogi, gdy tymczasem Prawda „nie znajduje się w połowie drogi". Ojciec biblijny czeka bowiem stale i z sercem pełnym miłości, ale *Dom* znajduje się wciąż *w tym samym* miejscu, bo jest zbudowany na opoce, aby nie spadły deszcze i nie wezbrały rzeki i nie powiały wiatry i nie uderzyły na ów dom: bo runąłby a upadek jego byłby wielki. Dom nie jest przetaczany i nie obraca się za każdym podmuchem w stronę wiatru. Syn marnotrawny zawsze zostanie przyjęty z radością, ale musi w r ó c i ć i powiedzieć: Ojcze, zgrzeszyłem przeciw tobie.

Zapomnieli ci teologowie „pod wpływem nierozważnej gorliwości duszpasterskiej i ulegając nieokreślonym porywom" o jedynie właściwej metodzie irenicznej, którą stosował — Chrystus. Podniósł i pochwalił wszystkie najlepsze strony ówczesnych dysydentów w stosunku do judaizmu, Samarytanów, na wieczność dał w jednym z nich przykład miłości bliźniego, stawiając go nie tylko ponad prawowiernych wyznawców Jahwy ale ponad Jego kapłanów, ale nie łudził ich w przedmiocie wiary: Zbawienie bowiem Żydów jest, (czyli: extra Ecclesiam nulla salus)...

Encyklika jest tak bogata w treść, że tomy trzeba by pisać, chcąc czerpać z jej wskazań. Ale mówiąc tu o irenizmie, metodzie zbliżenia do ludzi innej wiary (a wogóle: do ludzi innych przekonań), nie sposób nie zwrócić uwagi na jedną, tak bardzo zapominaną ogólnoludzką prawdę. A mianowicie, że aby dojść do zgody przy rozbieżnych i przeciwnych poglądach, przedė wszystkim należy wziąć pod uwagę to, co dzieli. Jakkolwiek paradoksalnie może to brzmieć, zasada, którą głosi: odrzućmy, co nas dzieli, a przyjmijmy, co nas łączy, jest nietwórczym oportunizmem i jak wszystko, co koniunkturalne, owoców nie przynosi. „Przeciwnicy bowiem, którzy są świadomi, że nie posiadają żadnej wystarczającej racji do tego, aby się sobie przeciwstawić — a jednak czynią to de facto — mogą sobą tylko wzajemnie pogardzać. (...) Nierzadko się zdarza, że nieznajomość różnic prawdziwych, stwarza fałszywe, co bardziej zwykło podsycać wrogie i pozbawione miłości sprzeciwy, niż dokładne poznanie przeciwieństw. Nic bowiem więcej nie rani i nie drażni, jak nieuzasadnione zarzuty"*).

Sądzę, że to zdanie J. A. Möhlera, wielkiego katolickiego teologa, dobitnie i jasno ujmuje, o jaki główny błąd niektórych irenistów chodzi. I jest to zarazem jedna z tak licznych praktycznych nauk encykliki. A wnioski z tej nauki należy wyciągnąć dla całości życia. Gdyby zaś nad tą prawdą chcieli pomyśleć również ludzie odpowiedzialni na naszej emigracji za jej skłócenie, była by to dodatkowa, jakże wielka, p o l s k a korzyść płynąca z rozważań nad dokumentem papieskim.

Jan Tokarski

*) Por.: X. Jan Rosiak: Wiara. Przyświadczenie umysłu czy ufność serca? „Przegląd Powszechny" nr. 9 (702), rok 1950.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

BŁOGOSŁAWIEŃSTWO OJCA ŚW. DLA POLAKÓW

Ojciec Święty przesłał Błogosławieństwo Apostolskie dla Polaków na ręce J. E. ks Biskupa Gawliny, który otrzymał dnia 16. bm. telegram tej treści:

„W gorącym hołdzie złożonym przez Waszą Ekscelencję w imieniu rozproszonych po świecie Polaków Ojciec Święty słyszy głos katolickiego ludu całej Polski, która w tradycyjnej czci dla Matki Boskiej zawsze znajdowała jedność i siłę dla obrony wiary przodków. Ojciec Święty, w ojcowskiej wdzięczności za wyraz synowskich uczuć przesłanych z powodu ogłoszenia dogmatu Wniebowzięcia udziela wszystkim, bliskim i dalekim, swego szczególnego błogosławieństwa Apostolskiego. — Watykan, 16 XII. 1950 r. (Podpisano): Ks. J. B. Montini. Substytut."

Telegram ten jest odpowiedzią na przesłane Papieżowi, przez ks. Biskupa Gawlinę, jako ordynariusza Polaków za granicą i kolonii polskiej w Rzymie, wyrazy hołdu z okazji ogłoszenia dogmatu Wniebowzięcia Najśw. Marii Panny.

PIELGRZYMI POLACY W RZYMIE

Oprócz pielgrzymki studentów z Hiszpanii przebywała w Rzymie pielgrzymka Polaków z Francji, pod przewodnictwem X Kaszubowskiego. Przybył również do Rzymu X. Prałat Staniszewski, rektor polskiej Misji Katolickiej w Londynie. Ponadto przyjechała ostatnia pielgrzymka polska z Anglii pod kierownictwem X. Kornackiego.

ZJAZD OGÓLNEJ FEDERACJI MĘŻÓW KATOLICKICH

Odbył się w Rzymie w dniach 14-17 grudnia zjazd ogólnej federacji Mężów Katolickich. Zjazd ten powołał do życia stałą organizację pod nazwą „Rada Federacji Mężów Katolickich", złożoną z 12 osób. Na czele listy Rady stoi nazwisko p. Jana Balińskiego-Jundziłła, który otrzymał w wyborach maksymalną większość głosów (przy 2 przeciwnych). Ten stosunek do Akcji Katolickiej Polskiej i jej przedstawiciela jest charakterystyczny dla całego Zjazdu. O panującym na nim nastroju świadczy rezolucja, zaproponowana przez delegację hiszpańską, a stwierdzająca, że ponad 90 milionów katolików cierpi prześladowanie za żelazną kurtyną. Rezolucja nawołuje do poparcia ich moralnego i materialnego, do obudzenia poczucia wśród wszystkich wiernych braterstwa z prześladowanymi, do stworzenia „atmosfery wojny krzyżowej", do tworzenia ognisk ich kultury, by umożliwić odbudowę ich życia w przyszłości.

„Majac na oku inwazję komunistyczną i bezbożną połowy Europy, oraz czerwony najazd na Dalekim Wschodzie, stwierdzając przytym niepokój wielu i brak woli walki w licznych środowiskach Zachodu, Pierwszy Zjazd Ogólnej Federacji Międzynarodowej Mężów Katolickich, w zgodzie z hasłem Piusa XII „opus iustitiae pax", proklamuje, że wszelki pokój, oparty na zachowaniu *bezbożnictwa i niewolnictwa, jest godzien potępienia. Na skutek tego wzywa się wszystkich katolików całego świata aby nikt z nich nie przystawał na żadne układy które, pod pretekstem utrzymania takiego pokoju, utrzymywałyby w więzach Kościół, kler i wiernych* w jakichkolwiek krajach, podległych władzy kominformu lub innych."

Ten wyraźny pogląd na sprawę prześladowania, którego ofiarą jest blisko jedna czwarta katolickiego świata, i jego ogłoszenie, jest faktem niezmiernie doniosłym, którego znaczenie odbić się może na opinii świata i obalić ostatecznie „sprzysiężenie milczenia", jakim starano się okupić łaski bolszewików.

LUDZIE, KSIĄŻKI, ZDARZENIA.

» CHRZEŚCIJAŃSCY PROGRESIŚCI «

Paryż, w grudniu 1950.

Chciałbym dziś pomówić o pewnym wydarzeniu, któremu prasa francuska (poza pismami komunistycznymi) poświęca zaledwie małą wzmiankę, pisaną drobnym drukiem. Mam na myśli narodowy zjazd progresistów chrześcijańskich w Paryżu. Zjazd ten ani ilością swych uczestników (prawdopodobnie liczba osób biorących w nim udział nie przekroczy 300 — tak, jak to miało miejsce zeszłego roku) ani swymi rezolucjami nie wzbudzi na pewno szerszego echa, nie pociągnie za sobą zainteresowania mas. Tym niemniej wydaje się, iż działalność ruchu tego, ideje, które reprezentuje, założenia, na których się opiera, są tak charakterystyczne, iż warto kilka słów jemu poświęcić.

Związek Progresistów Chrześcijańskich (Union des Progressistes Chrétiens) powstał w 1947. Założony został przez grupę lewicowych katolików, którym z jednej strony przyglądał się z sympatią i uznaniem zawieszony obecnie w swych czynnościach kapłańskich ksiądz Boulier, a z drugiej wieloletni redaktor katolickiego miesięcznika „Esprit", świetny pisarz i filozof Emanuel Mounier, który zmarł tego roku. Punktami wyjścia tej grupy katolików, do których z czasem przyłączyć się mieli i protestanci, było pewne założenie i pewna analogia historyczna. Najpierw kilka słów o owym założeniu.

Ojcem duchowym jego był Mounier. Zdaniem pisarza tego Kościół, katolicki, który ma misję spełniania celów nadziemskich, posiada jednocześnie swą strukturę i powłokę ziemską, która jest wcieleniem jego w otaczającą rzeczywistość. Wcielenie to związane z losami ziemi przechodziło i przechodzi ewolucje i przekształcało się kolejno w historycznym procesie zmian, które następowały po sobie w dziejach ludzkości. Tak było dotychczas i tak powstał pewien rytm wzajemnej zależności między Kościołem a historycznym obrazem świata. Ostatnio jednak ta współzależność w rytmie przeobrażeń została zachwiana. Epoka nasza, która stworzyła nieprawdopodobny rozwój techniki współczesnej, która przyniosła zmiany nie tylko w strukturze społeczeństw lecz i w sposobie myślenia mas, pozostawiła niestety daleko poza sobą ucieleśniony w tej rzeczywistości Kościół katolicki. Gdyż Kościół katolicki, tkwiąc w dawnych i przestarzałych formach dziewiętnastowiecznych współistnienia ludzkości, nie podąża za biegiem ewolucji. Króko mówiąc struktura cielesna Kościoła katolickiego oparta jest głównie na klasie społecznej, spychanej rozwojem historycznym do roli drugorzędnej — burżuazji i na formie współżycia kapitalistycznej. W nowych ruchach, ideach i aspiracjach reprezentowanych przez proletariat — tę właśnie klasę, która masowo ukształtowała się na skutek nowoczesnych przeobrażeń i która przeznaczona jest do odegrania zasadniczej roli w dziejach — Kościół katolicki winien wyciągnąć rękę do proletariatu i współpracować z nim nad budową nowych form życia, dostosowanych do zmienionych warunków. Tak wygląda owo założenie.

Analogia historyczna jest bardziej literacka i plastyczna. Stara się ona przeprowadzić znak równania między czasami, w których żyjemy a V i VI wiekiem po Chrystusie i nawiązuje do tego, co Ozanam określił jednym i krótkim zdaniem: „passage aux Barbares". Wiek V i VI to rozpadanie się w gruzy cesarstwa rzymskiego, to najazdy dzikich plemion germańskich, to ciemna noc, która powstaje na zgliszczach dogorywującej cywilizacji. Ta noc ciemna to pewnie koniec świata. I wówczas wśród chrześcijan rodzi się przekonanie, iż przeczuwany koniec świata nie jest nim jednak w rzeczywistości, że na zgliszczach i gruzach jednej cywilizacji wybudować można inną, stapiając i przerabiając siły nowe. Chrześcijanie też zamiast zamknąć się w ruinach cywilizacji rzymskiej wyruszają do dzikich plemion germańskich niosąc im słowo Chrystusa, ucząc ich i nawracając. Ten ruch chrześcijan w kierunku plemion germańskich, to właśnie co Ozanam nazwał „le passage aux Barbares", zasiać miał ziarna, z których powstać miała z czasem chrześcijańska kultura średniowiecza. Epoka, w której żyjemy — zdaniem progresistów — przypomina łudząco owe dnie upadku cywilizacji rzymskiej. Mamy bowiem z jednej strony zestarzały i przeżyty świat kapitalistyczny, skazany nieodwołalnie na zagładę, z drugiej zaś siły nowe, młode i napoły dzikie sowieckiego komunizmu. Obowiązkiem więc chrześcijan 20 wieku jest nie tylko zrozumienie doniosłości chwili i roli, którą powierza im historia, lecz także powtórzenie tego samego gestu, co chrześcijanie w wieku V i VI. Trzeba wyjść naprzeciw wschodu z wyciągniętą ręką, trzeba się z nim stopić i szerząc w nim ideały religii chrześcijańskiej współdziałać w tworzeniu nowej cywilizacji.

Tak wyglądają owe założenia i analogia historyczna, które są u podstaw ruchu chrześcijańskich progresistów. Nie będziemy z założeniem tym ani ze złudną iluzją analogii podejmować dyskusji. Ramy niniejszego artykułu na to nie pozwalają. Chcielibyśmy tylko przytoczyć kilka faktów, wskazujących na to, do jakich praktycznych konsekwencyj owe teoretyczne punkty wyjścia doprowadzają, do jakiego łożyska wpychają one działalność chrześcijańskich progresistów. To łożysko, to nurt polityki komunistycznej.

Od chwili swego powstania progresiści w apelach swych, publicznych biuletynach i publicznych wystąpieniach zajmują stanowiska identyczne ze stanowiskiem komunistów. Tak było w chwili krwawego stłumiania przez władze francuskie rozruchów na Madagaskarze, tak było gdy doszło do konfliktu Tita z Kominformem, tak było w czasie procesu Rajka i apelu stokholmskiego i tak ciągle jest, gdy chodzi o przeciwstawianie się walkom w Indochinach i Planowi Marshalla oraz występowanie w obronie zaatakowanych przez imperialistów amerykańskich północnych Koreańczyków. Progresiści w swej praktycznej działalności idą wiernie śladami partii komunistycznej, jeszcze ani razu kroku w marszu tym nie zmienili, jeszcze ani razu w zachowaniu ich nie zarysowała się jakakolwiek dewiacja. W tym też tkwi zasadnicza różnica między nimi a ich wzorami, które pragną naśladować, z V i VI wieku. Zamiast glebę komunistyczną przerabiać chociaż powoli i nieznacznie, w glebę tę wsiąkają, coraz mniej widoczni i coraz mniej od gleby tej się różniący.

Jak jednak zachowanie to sami progresiści tłumaczą? Na zarzuty posłusznego naśladownictwa komunistów odpowiada jeden z przywódców ruchu tego André Mandouze: „Jesteśmy tam wszędzie, gdzie jest sprawiedliwość. Jeżeli postępowanie komunistów wydaje się nam słuszne i sprawiedliwe, jesteśmy po ich stronie". Chciałoby się tutaj p. Mandouze poprosić o wyjaśnienie, jaki to zadziwiający zbieg okoliczności sprawia, iż od trzech lat już sprawiedliwość towarzyszy nieodłącznie i zawsze wszelkim poczynaniom komunistów? Lecz znowu dyskusję tę porzućmy.

Położenie progresistów katolickich (są wśród nich takie osoby, jak Ojciec Filiière, ksiądz Richard, doskonały pisarz L. Martin Chauffier, Gilbert de Chambrun, generał Petit, wsławiony ostatnio swymi wystąpieniami przeciwko wojnie w Indochinach na procesie w sprawie sabotażów floty wojennej w Toulonie) i ich prawowierność zachwiana została dwukrotnie. Pierwszy raz miało to miejsce gdy kardynał Suhard ogłosił list pasterski, w którym potępiał wyraźnie działalność progresisów, drugi zaś, gdy ogłoszony został w lipcu 1949 Dekret Św. Officjum. W obu wypadkach z oficjalnymi deklaracjami wystąpił sekretarz generalny ruchu Moiroud. Oba razy też stwierdzał on stanowczo, iż żadne z nakazów i zastrzeżeń nie może odnosić się do progresistów. Jeżeli chodzi o Dekret Św. Officjum uzasadnia on to w sposób następujący:

1. progresiści nigdy nie byli wyznawcami materializmu Marksa,

2. nigdy nie zajmowali oni stanowiska pochwalnego w stosunku do ideologii Marksa, szukali natomiast tylko praktycznych rozwiązań w bezpośredniej rzeczywistości,

3. współpraca ich z komunizmem pozwalała im zawsze na zachowanie całkowitej niezależności w sprawach wiary,

4. progresiści francuscy, z nielicznymi tylko wyjątkami, nie należą do partii komunistycznej i tym też różnią się głównie od progresistów włoskich.

Deklaracje sekretarza generalnego Moiroud dały zresztą asumpt progresistom do rozwinięcia innej jeszcze teorii na obronę swego stanowiska. Teorię tę w ich imieniu ujął Jean Verlhac. Brzmi to mniej więcej w ten sposób: chrystianizm i wewnątrz niego Kościół katolicki są drogą wiodącą ludzi ku wieczności i z tytułu tego w zakres obowiązków Kościoła wchodzi obrona i walka o zachowanie praw ducha. Ale obok spraw ducha istnieje świat ze swymi prawami i potrzebami doczesnymi, które mogą być jedynie rozstrzygane przy pomocy racjonalnej polityki, niezależnej całkowicie od jakiejkolwiek religii. Ten właśnie podział na sprawy wiary i ducha oraz na sprawy doczesne pozwala progresistom na zachowanie z jednej strony wierności w dziedzinie praktyki religijnej i posłuszeństwa w stosunku do dogmatów wiary, z drugiej na swobodną współpracę z komunizmem. Teorię tę ujął także ekskomunikowany ksiądz Boulier powtarzając znane określenie: „Our faith from Rome, but our politics from home".

Zwróćmy tutaj uwagę na to, jak dalece teoria ta odbiegła w międzyczasie od analogii historycznej, będącej punktem wyjścia całego ruchu. Gdzież bowiem w przeprowadzonym podziale znajdziemy miejsce na spełnienie misji nawracania barbarzyńców, gdzież zaginęło posłannictwo i obowiązek zasiewania ziaren, z których powstać ma nowa cywilizacja?

Błędy ostatniej teorii progresistów najlepiej ujął arcybiskup Rennes, Rocques. „Przeprowadzając podział na sprawy ducha i sprawy doczesne — mówi on — progresiści deformują doktrynę Chrystusa i naukę Kościoła. Nie można bowiem być sługą dwóch panów jednocześnie". A Mounier, który z sympatią przyglądał się powstaniu progresistów, ich teorię podziału potępia stanowczo w jednym ze swych artykułów, drukowanych na początku tego roku w „Esprit".

Takie są dzieje, przeprowadzane akcje i stopniowe ewolucje chrześcijańskich progresistów, którzy za dwa dni obradować będą w Paryżu. Na wstępie artykułu tego powiedziałem, że działalność ich jest ciekawa i charakterystyczna. Mówiąc to miałem na myśli jedną przede wszystkim właściwość tego ruchu. Dzieje i działalność progresistów są — mam wrażenie — niezbitym dowodem tego, że ci wszyscy, którzy pragną współpracy z komunizmem, bez względu na formę czy teorię, na którą się powołują, prędzej czy później skazani są na niewolnicze posłuszeństwo w stosunku do niego. W naszych czasach próby łączenia jakichkolwiek prądów ideologicznych z komunizmem kończą się nieodwołalnie całkowitym podporządkowaniem jemu. Dzisiaj można być przeciw komunizmowi lub za. Ale innych alternatyw nie ma.

Jur.

WŚRÓD KSIĄŻEK I PISM ANGIELSKICH

CHINY I ZSRR

Bardzo na czasie jest opublikowana ostatnio książka Aitchen K. Wu pt. „China and the Soviet Union" (f. Methuen, cena 25 sh.) Autor był urzędnikiem rządu chińskiego na stanowiskach dyplomatycznych we Wschodniej Syberii. Poprzednio opublikował dwa dzieła na tematy sowieckie, a obecnie dał pełny materiał zdobyty w ciągu dziesięcioletnich studiów stosunków chińsko-sowieckich. Książka podzielona jest na trzy części: 1. przegląd ekspansji rosyjskiej w kierunku Pacyfiku od roku 1618, 2. bardzo dokładna analiza wzajemnego oddziaływania na siebie dwóch rewolucji: chińskiej z r. 1911 i rosyjskiej z r. 1917, wreszcie 3. dalsze stosunki chińsko-rosyjskie do dnia dzisiejszego. Obszerną książkę uzupełnia appendix, zawierający dosłowne teksty ważniejszych dokumentów. Dzieło ma pewne wady (jak np. częste cofanie się w przeszłość przy omawianiu późniejszych okresów), ale jest bardzo pomocne dla każdego inteligenta, interesującego się Dalekim Wschodem.

PROBLEMY SOCJALNE CYWILIZACJI PRZEMYSŁOWEJ

Pod dość dziennikarskim tytułem „Are Workers Human?" wydał Gordon Rottray Taylor bardzo interesującą książkę, która — może słuszniej — mogłaby się nazywać „Problemy socjalne cywilizacji przemysłowej". (wyd. Falcon Press, cena 10 s. 6 d.) Pozornie dzieło to zajmuje się tylko problemami — prawie technicznymi — życia fabrycznego. W rzeczywistości jednak autor sięga w samą istotę struktury obecnego życia społecznego. Do obecnej preponderancji przemysłu i fabryki odnosi się autor w zasadzie pozytywnie, wykazuje jednak straszliwe błędy kierownictwa przemysłu i wysuwa szereg postulatów zmierzających jednocześnie do humanizacji życia robotników i do usprawnienia procesów produkcyjnych. Nie wszystkie zachwyty p. Taylora i nie wszystkie jego projekty wydają się rozsądne i możliwe do przeprowadzenia. Ciekawe jest jedno: autor, wychodząc z założeń czysto laickich i nawet niechrześcijańskich, dochodzi m.in. do wniosków zgodnych z naukami św. Tomasza i z encyklikami papieskimi i dążeniami nowoczesnych prądów katolickich. Zdaniem Taylora fabryka powinna być czymś pośrednim pomiędzy rodziną a drużyną piłki nożnej. Każdy w fabryce powinien znać swoją pracę, kierownictwo musi rozumieć robotników, a ci znać zasady kierownictwa; robotnik powinien mieć pewność, że nie straci swej pracy i winien za swe umiejętności i energię otrzymywać naturalną nagrodę w postaci awansu i prestiżu. Zespoły fabryczne powinny być grupami organicznymi, a między kierownictwem i robotnikami ma się odbywać stała wymiana poglądów. Co do nacjonalizacji przemysłu, to zdaniem autora może ona przynieść tyleż złego co dobrego, gdyż nie można stworzyć zdrowego ducha zespołowego, gdy nie ma zespołów w ścisłym słowa tego znaczeniu. Współwłasność przedsiębiorstw, należących do przedsiębiorcy i robotników uważa p. Taylor za ideał, w czym jest bliski rozwiązaniom katolickim.

PROBIERZ INTELIGENCJI

W cyklu odczytów „The Study of the Mind" („Badanie umysłu"), ogłaszanych obecnie w „The Listener", psycholog angielski Sir Cyril Burt zajął się m.in. praktycznym badaniem inteligencji, przeprowadzanym przy pomocy t.zw. „intelligence tests". Jako założenie przyjmuje się, że to co określamy mianem inteligencji ogólnej (w odróżnieniu od uzdolnień specjalnych), jest właściwością wrodzoną, która u dzieci rozwija się równolegle z fizycznym rozwojem ich organizmu. Przy pomocy starannie obmyślanych eksperymentów psychologowie ustalili, na jakie problemy zdolne jest dać odpowiedź dziecko takiego a takiego wieku, — i na tej podstawie oznacza się „wiek umysłowy" danego dziecka. Dziecko, mające lat powiedzmy 11, może pod względem „wieku umysłowego" mieć nie więcej niż lat siedem — bądź z powodu niskiego wrodzonego poziomu inteligencji, bądź też z powodu zaniedbań w wychowaniu, co w każdym wypadku należy starannie odróżnić. Celem takich eksperymentów jest stwierdzenie, w jakim kierunku powinno iść dalsze wychowanie dziecka.

Sir Cyril Burt podaje kilka pytań ustnych, jakie przy „intelligence tests" zadaje się osobom różnego wieku. Oto takie pytanie dla osoby dorosłej:

„Przypuśćmy, że twoja matka pragnie mieć dokładnie siedem kwaterek wody. Prosi cię więc, byś poszedł do wodociągu i daje ci dwa dzbanki: jeden zawiera dokładnie trzy, a drugi pięć kwaterek. Czy możesz mi powiedzieć, w jaki sposób można odmierzyć dokładnie 7 kwaterek wody, używając wyłącznie tych dwóch dzbanków?"

Sir Cyril Burt nie daje odpowiedzi na to pytanie, które niewątpliwie sprawiło sporo kłopotu wielu słuchaczom radia. Trudno się temu dziwić, skoro — jak stwierdził prelegent — przeciętny „wiek umysłowy" osób dorosłych we wszystkich niemal krajach cywilizowanych niewiele przekracza lat piętnaście. Po osiągnięciu tego wieku ludzie wprawdzie uczą się nadal, ale z d o l n o ś ć uczenia się dochodzi do swego punktu szczytowego wkrótce po osiągnięciu dojrzałości i utrzymuje się na tym poziomie przez lat mniej więcej trzydzieści. Stąd wprawdzie w ciągu tego okresu wciąż powiększamy naszą wiedzę, umiejętności i doświadczenie, jednak owa wrodzona „zdatność" pozostaje na tym samym poziomie.

W dyskusji, jaka rozwinęła się w „The Listener" na temat „intelligence tests" padły głosy, wyrażające wątpliwość co do skuteczności tej metody.

WIECZORY TEATRALNE

UCIEKŁA MI PRZEPIÓRECZKA...

ZWIĄZEK Artystów Scen Polskich na Obczyźnie i Towarzystwo Przyjaciół Teatru Dramatycznego przygotowały w sali „Ogniska Polskiego" lekturę komedii Stefana Żeromskiego „Uciekła mi przepióreczka..." Był to w całej działalności teatru polskiego na obczyźnie punkt szczytowy. Wartość artystyczna tego wieczoru da się zestawić jedynie tylko z wielkim przedstawieniem „Rozdroża miłości" Zawieyskiego (nawiasem mówiąc autora „Powrotu Przełęckiego") i z niczym więcej, cokolwiek się przesunęło przez emigracyjną scenę.

Było w atmosferze tego raczej skromnie pomyślanego wieczoru coś tak uroczystego, a w czytaniu utworu jakaś taka magia wielkiego teatru, że chciałoby się wierzyć, iż lekturze patronował z zaświatów duch Żeromskiego, którego wezwano na emigracyjną scenę w 25 rocznicę zgonu pisarza.

Do tej pory nie doceniano twórczości dramatycznej Żeromskiego, stawiając ją znacznie poniżej jego prozy. Wydaje się, że dziś dramaty pisarza biorą górę nad jego powieściami. Powieści Żeromskiego są zwrócone do przeszłości i z przeszłością związane. Ich sprawy w naszych czasach już by się powtórzyć nie mogły. Jest w tych powieściach za mało wiecznego człowieka. W dramatach natomiast jest siła żywa. A więc „Sułkowski" — jakże dziś błyszczący świeżością problem polskiego „słania się w obce rowy". „Turoń" — dno polskiej tragedii i niesionej na ostrzach obcych bagnetów przebudowy społecznej. „Przepióreczka" — dramat nawskroś chrześcijański, gdzie los duszy ważniejszy jest od odnowionych zamków i szklanych laboratoriów.

Słyszeć w dziesiątym roku emigracji język dramatów Żeromskiego, to tak jakby nagle usłyszeć szum Wisły albo wiatr od morza albo poczuć dym z ojczystych popiołów. Język ten i dialog sceniczny płyną jak rzeka potoczystymi wodami. Nie ma w nich niczego nieważnego, płyną ze źródła potrzeby i bieżą w nieodwracalnym kierunku. To nie słowa dla słów, ale treści ubrane w słowa. Język osiadły wrośnięty w ziemię, gospodarski, rodowy, ale równocześnie niepowtarzalny, odkrywczy, samoswój. Dramat Żeromskiego narasta naturalnie każdym zdaniem, każdym wyrazem i nie ma w nim ani jednego rzuconego na wiatr słowa.

Czytanie „Przepióreczki" bez jej scenicznej plastyki wydobyło z dramatu zupełnie niespodziewane barwy. Tak n. p. profesorowie trójkami siedzący po dwu stronach proscenium — urośli do rozmiaru chóru z greckiej tragedii. Cóż za głębia w tym zamyśle Żeromskiego! Każdy z profesorów „Przepióreczki", to inny charakter. Jak muzyka brzmi crescendo i diminuendo ich uczuć, rzucających snopy światła na każdy czyn i krok Przełęckiego. A piosenka „Uciekła mi przepióreczka...", odśpiewana za sceną jednym głosem! Brzmi jak echo duszy, która odnalazła drogę swego powszedniego powołania. Plastyka sceny może by nawet zatarła nurt czytanego dramatu.

Aktorzy pojęli „Przepióreczkę" znakomicie. Przede wszystkim Wojciech Wojtecki. Jest to aktor, mogący się równać z gwiazdami sceny światowej. Aktor z urodzenia, aktor duszą i ciałem. Jedno tylko zdumiewa w Wojteckim: jak zdołał zachować tak wielki talent, marnotrawiony przez lat przeszło dziesięć? Maryna Buchwaldowa w roli Doroty była znakomitą partnerką Wojteckiego. Rolę swoją przeżywała na scenie. Leopold Skwierczyński jako Smugoń stał może tylko o krok niżej w tym trio. Wielką i radosną niespodzianką był występ Romany Pawłowskiej, również urodzonej aktorki, o prześlicznym głosie imperatywnej słodyczy, w roli księżniczki Śreniawianki.

Wacław Radulski, reżyser-klasyk, wydobył jak znakomity dyrygent pełną harmonię z lektury. Śledząc z egzemplarzem sztuki w ręku czytanie dramatu wniósł jeszcze jeden element muzyczności do tej wspaniałej symfonii teatru.

Kto wie, czy teatr emigracyjny nie powinien pójść po linii czytania arcydzieł dramatu. Mógłby to chyba na razie ograniczyć choćby do Londynu?

Czytanie „Przepióreczki" było największym scenicznym wydarzeniem na emigracji. Organizatorzy dopłacili do wieczoru 14 funtów.

J. B.

DYSKUSJE

TWÓRCZOŚĆ BERNARDA SHAW'A W ŚWIETLE ETYKI

KAŻDY utwór literatury pięknej winien być oceniany nie tylko ze względu na jego wartości językowe i literackie, ale niemniej także — raczej przede wszystkim — z punktu widzenia etyki katolickiej podającej zasady moralności.

Żadna dziedzina życia ludzkiego nie jest wyjęta spod oceny moralnej, bo każdy czyn człowieka (a takim jest utwór literacki także) winien być na chwałę Boga i pożytek ludzki. Jedynie niektóre części utworu literackiego np. zasadniczo (per se) opisy przyrody itp. należą do t.zw. spraw i czynów obojętnych moralnie.

Na skutek dążeń do odchrześcijanienia wszystkiego odwykliśmy lub nie przywykliśmy do oceny utworów literackich, muzycznych (np. oper), malarskich z punktu widzenia etyki chrześcijańskiej. Zmienia się jednak ten stan powoli na lepszy. Sygnałem tego była w Polsce (może niedoskonała, bo pierwsza próba) książka ks. Pirożyńskiego: „Co czytać". Były i są recenzje w „Przeglądzie Powszechnym" i innych pismach oceniające utwory literackie także z punktu widzenia etyki. W Italii ukazała się obszerna praca Giovanni Casati „Manuale di letture per le biblioteche, le famiglie, le scuole", oceniająca z punktu widzenia etyki nie tylko książki o charakterze literatury pięknej, ale i naukowe. W Ameryce utwory dramatyczne oceniają pod względem moralności „Catholic News", „Commonweal", „America", „The Catholic World". Z punktu widzenia etyki filmy są oceniane: w Ameryce przez Legion of Decency, w Italii przez Centro Cattolico Cinematografico, w Anglii w miesięczniku „Focus". „Choisir" we Francji przed drugą wojną światową (nie wiem, czy obecnie wychodzi) oceniało z punktu widzenia etyki oprócz filmów także słuchowiska radiowe i te oceny podawane były w programach audycyj na tydzień następny.

Jakież więc wymagania stawia etyka katolicka autorom dzieł literackich?

I. Przede wszystkim podkreśla znaczenie talentu pisarskiego i odpowiedzialność za jego zużytkowanie.

Łaskę, talenty i inne dary otrzymuje człowiek nie tylko ze względu na siebie, ale przede wszystkim dla uwielbienia Boga i pożytku bliźnich[1]. „Każdy z was niech się bliźniemu swemu podoba ku dobremu, dla zbudowania"[2]. „Każdy nie to, co jego jest, upatrując, ale to, co drugich"[3].

Wspaniale pisze o tym Św. Paweł w liście do Rzymian (rozdział XII) i w Pierwszym Liście do Koryntian (rozdziały XII i XIII).

Streszczeniem tych rozważań są słowa: „Jak w jednym ciele wiele członków mamy, a wszystkie członki nie tę samą czynność mają, tak wielu nas jednym ciałem jesteśmy w Chrystusie, a każdy z osobna jeden drugiego członkami. A mając dary według łaski, która nam jest dana, różne"[4].

II. Stwierdza też etyka chrześcijańska, że im większe dary otrzymał kto od Boga, tym większa jest jego odpowiedzialność za dzieje ludzkości. Dlatego to najbardziej sumienni ludzie, jakimi są Święci, zawsze czynili wszelkie starania, by nie stracić czasu i nie zmarnować sposobności do zużytkowania zdolności, talentów i innych otrzymanych darów. Zasadą ich życia były słowa Pana Jezusa: „Mój pokarm jest, żebym czynił wolę Tego, który mnie posłał, abym wykonał sprawę Jego"[5]. Postępowanie ich było pełne pokory, bo pamiętali słowa Pisma: „Albowiem któż cię wyróżnia? A co masz, czegoś nie otrzymał? A jeśliś otrzymał, czemu się chełpisz, jakobyś nie otrzymał"[6]?

Te same zasady winni stosować w swym życiu i w swej twórczości autorzy utworów literackich.

III. Autorowi nie wolno zachwalać zła, przedstawiać go ponętnym lub starać się go bronić. Dla przykładu: niemoralne są powieści i dramaty usprawiedliwiające złamanie wiary małżeńskiej, rozwody, eutanazję, samobójstwo, pojedynek. Złe są książki broniące lub zachwalające protestantyzm, modernizm, socjalizm, komunizm, omnipotencję państwa.

IV. Ażeby Bóg był wychwalony przez talent autora i ażeby zarazem osiągnięty był możliwie największy pożytek dla ludzkości, autor jest obowiązany *pozytywnie* szerzyć dobro. Dla przykładu: powieściopisarz historyczny powinien przedstawiać w swych powieściach osoby i czyny godne naśladowania.

* * *

Jak w świetle tych zasad ocenić działalność pisarską niedawno zmarłego Bernarda Shawa?

Trzeba z żalem stwierdzić, że Shaw swego talentu nie tylko nie użył pozytywnie na chwałę Boga, był bowiem niewierzący, ale nawet nie zużytkowali dla zdrowego i tym samym prawdziwego dobra ludzkości. Dzieła jego szerzą wiele błędnych pojęć i zasad i podkopują wiarę, a ich wpływ destrukcyjny może być o tyle większy, o ile talent Shawa przewyższa talent wielu innych dramaturgów i publicystów.

Że zdanie tu wygłoszone nie jest odosobnione, podam ocenę „The Catholic Times" z 10 listopada 1950 r.

W artykule „George Bernard Shaw" benedyktyn W. I. Rice pisze: „Może XVIII wiek byłby odpowiedni dla niego, aby być angielskim lub irlandzkim kolegą Voltaire'a". W innym miejscu tegoż artykułu czytamy: „W staraniu o urzeczywistnienie swej ewangelii Siły Życia i sworzenia nieba na ziemi usiłował wymieść jak najwięcej podstawowych i naturalnych praw i wolności ludzi". Tak np. głosił, że „małżeństwo musi być regulowane przez Państwo na zasadach eugeniki. Państwo ma obowiązek przejęcia całkowitej troski o dzieci, ażeby stały się obywatelami według jego serca. Rodzice są tylko tymi, co dają życie obywatelom". W dalszej części artykułu autor uwypukla atak na Kościół w sztuce Shawa o Św. Joannie.

Na str. 6 tegoż numeru „The Catholic Times" w dziale „Notes of the week" czytamy: „Raz po raz nasuwa się porównanie z Wolterem... Wolter był wielbicielem Fryderyka Wielkiego, jak Shaw podawał się za wielbiciela Stalina. Sceptycyzm Woltera dał we Francji początek procesowi rozkładu intelektualnego, z którego ten wielki i utalentowany kraj nie podniósł się jeszcze po dziś dzień. Może to być rzeczywiście oznaką powrotu do zdrowia wśród naszych (t.zn. angielskich) inteligentów, że w końcu nie dali się omamić sławną błyskotliwością sprzeczności Bernarda Shawa."

Pisząc te uwagi o grzechach Shawa jako autora, nie mam zamiaru — w myśl zasady: de internis non iudicat praetor — poruszać sprawy *subiektywnej* odpowiedzialności (peccata formalia) Shawa wobec Boga; stwierdzam jedynie zło moralne jego utworów (peccatum materiale).

Niech Bóg będzie miłościw jego duszy! Nikomu nie jest wiadome, co się dzieje między Bogiem i człowiekiem w chwilach opuszczania ciała przez duszę.

Wolno jednak i należy oceniać działalność pisarską Shawa *obiektywnie**) i stwierdzić, że Shaw należał do tej niestety niemałej listy utalentowanych pisarzy wieków XVIII — XX, którzy talenty swe twórcze wprzęgli w służbę zła i utrudnili Kościołowi katolickiemu uświęcenie ludzkości. Wśród tych pisarzy zanotować należy takie np. nazwiska: Balzac, d'Anununzio, Dumas ojciec i syn, Anatol France, Meaterlink, Zola.

Władysław Jelonek

---

1) por. I Kor. XII, 7; XIV, 26. — 2) Rzym. XV, 2. — 3) Fil. II, 4. — 4) Rzym. XII, 4-6. — 5) Jan IV, 34. por. XVIII, 4. — 6) I Kor. IV, 7.
*) t. zn. niezależnie od subiektywnej odpowiedzialności autora.

DLA „SKOŁOWANEJ" PUBLICZNOŚCI

Szanowny Panie Redaktorze!

„Próba wywiadu o malarstwie" z nr. 49/100/ŻYCIA jest istotnie próbą „skołowanego laika".

Nasuwa mi się kilka uwag, które zechce Pan uprzejmie zamieścić w Swoim poczytnym piśmie, dla ogólnie skołowanej publiczności i ku uwadze próbujących rozeznać się w dżungli pojęć o malarstwie.

*

Malarz, któremu nie obce jest pojęcie etyki, nigdy nie pozwoli sobie na obniżenie czy lekceważenie wysiłków konfratra.

Krytyk usiłujący napisać wywiad o malarstwie, nie informuje się malarzy — ogląda obrazy i na podstawie powszechnie znanych kryteriów buduje artykuł.

Cechą podstawową krytyka jest obiektywizm, a naczelnym zadaniem przetransponowanie języka malarskiego na literacki, coś w rodzaju pośrednictwa.

Twórca bowiem ma zdolność syntezy, podczas kiedy krytyk jest typem analityka. Jednym z zadań krytyka jest wyrwanie laika z „murzyńskiego" kryterium „podoba mi się" i rozwinięcie w nim zdolności poznawania istotnych wartości w malarstwie, nawet za cenę „nie podoba mi się".

Uogólniając: krytyk musi mieć obok zdolności szczególnych, wykształcenie w dziedzinie historii, filozofii i psychologii sztuki, bez tego wszelkie próby wprowadzają zniechęcenie w pojmowaniu malarstwa.

Autor „wywiadu" był uprzejmy zauważyć, że malarze stanowią także „odłam" społeczeństwa. To stwierdzenie jest bardzo polskie... Czy wolno mi przypomnieć jak tym „odłamem" społecznym szczycą się narody Tintorettów, Cezannów, Velasquezów, Rembrandtów?...

Bardzo się cieszymy, że do świadomości Emigracji dochodzi z trudem pojęcie „odłamu" społecznego, jakim są prawdopodobnie malarze, rzeźbiarze, poeci i muzycy. Pewnego dnia społeczeństwo emigracyjne może się przekonać z rumieńcem, że właśnie gdzieś tam uporczywy „odłam", polskim nazwiskiem zabłyśnie i wzbudzi szmer podziwu u obcych dla swojej sztuki. Historia zna już takie wypadki.

Powiedzmy sobie otwarcie: jesteśmy społeczeństwem nie wychowanym i bardzo zacofanym w kwestiach rozumienia sztuki.

Przebywamy w tej chwili w środowiskach, gdzie mamy do dyspozycji pierwsze muzea świata — chodzi o to aby się czegoś nauczyć. Metoda uczenia się sztuki jest prosta: odwiedzać wystawy, czytać recenzje i porównywać je ze swoimi doznaniami.

Malarz, choćby się do tego nie przyznawał, czuje ogromną potrzebę oparcia się o społeczeństwo. Rozbicie społeczeństwa emigracyjnego, zajętego walką o byt i donkiszoterią walk o „władzę", siłą rzeczy odbija się na „odłamie" społecznym tak bardzo poklepywanym po plecach.

Autor „wywiadu" boi się narazić używając określenia „ogół uprawiających malarstwo". Bardzo trafne określenie. Na terenie francuskim podpisany widział b. poważną grupę „uprawiających malarstwo z całą aparaturą „opiekunów" i podopiecznych w charakterze stypendystów. Większość tych ludzi ćwiczy się w rzucie bumerangiem do kangurów w Australii, albo moczy odciski w gejzerach nowo - zelandzkich.

Paryż szybko przesiewa „malarzy", Londyn okazuje się pobłażliwszy, mając na czele najlepszego polityka wśród „malarzy" p. Churchilla...

Nazwiska trzech malarzy londyńskich, które autor wymienia „z przeproszeniem" były znane w Kraju przed wojną i chociaż p. Szyszko-Bohusza poznałem na stanowisku prof. matematyki w gimn. w Gdańsku, wiadomym jest powszechnie, że studiował w Krak. Akad. Sztuk Pięknych. Należy przyjąć, że Potworowski nie uczy tańca tylko malarstwa.

Krytyk nie zna pojęcia „świętego spokoju". pojęcie to jest często hamulcem rozwojowym i prawie zawsze fałszem.

Leon Chwistek w cyklu wykładów krakowskich, wydanych w zbiorze zatytułowanym „Zagadnienia kultury duchowej w Polsce", powiedział: „W Polsce aby być malarzem trzeba bohaterstwa!" Od siebie dodam — aby nim być na emigracji ,trzeba pokusić się o h e r o i z m.

Rola malarzy polskich na obczyźnie wydaje mi się poważna, wobec tego co się dzieje w Kraju. Wysiłki nasze zmierzają do pogłębienia znajomości przedmiotu, aby w przyszłości wziąć się z całą energia do naprawienia zaniedbań i krzywdy dla narastającego pokolenia tresowanego w założeniach socrealistycznego wazeliniarstwa.

Proszę przyjąć wyrazy prawdziwego poważania.

Zygmunt Gąsiorowski

Paryż w grudniu 1950 r.

NOWE FILMY

„NIE MA WAKACJI DLA PANA BOGA"

„PLUS DE VACANCES POUR LE BON DIEU"

Kino: New Galery. *Prod.:* Jason-Latino Consortium (franc.) *Scenariusz:* Solange Terac, Bill Boel i Robert Vernay według sztuki P. Armont'a i P. Vandenberghe. *Reżyser:* Robert Vernay.

CAŁA dzieciarnia z Place de Teraire i okolicy (w dzielnicy Montmartre w Paryżu) wyjechała na wakacje. Pozostałe niedobitki — przemiła banda paryskich *gamins* pod wodzą Jacky Gencel'a — zbierają się w zaimprowizowanej w ruinach „melinie", by naradzić się jak spędzić czas przyjemnie, wyciskając z opuszczonego miasta jak najwięcej radości życia. Powstaje projekt uprowadzenia ulubionego pieska ciotki jednego z urwisów i uzyskanie od niej okupu. Plan udaje się znakomicie, a zdobyte w ten sposób pieniądze puszczone są wesoło na lody, ciastka i zabawy w lunaparku. Ten pierwszy krok przesądza o systematycznej działalności bandy, której najcenniejszym pomocnikiem okazuje się sprytny piesek, świetnie wytresowany do podejmowania spod pewnej latarni kopert z okupami wymuszonymi od zakochanych w swych czworonogach histeryczek. Pieski w całej dzielnicy są porywane, interes idzie świetnie, zasoby rozzuchwalonej bandy rosną w szybkim tempie. Ale oto nowy problem: gdyby każdy z urwisów kupił sobie jakąś ulubioną zabawkę — spostrzegliby to starsi i cała sprawa wydałaby się ku hańbie młodych „gangsterów". Pieniądze zatem leżą w oczekiwaniu na specjalną okazję. Aż pewnego dnia dzieciaki podsłuchują rozmowę starszawej pary z proboszczem kościoła Serca Jezusowego. Poczciwcy chcieliby się pobrać, ale brak im pieniędzy na koszta ślubu. W tym momencie banda wkracza w atrybucje dobrego Pana Boga i podrzuca staruszkom odpowiednią sumę, co w pierwszej chwili zostaje przyjęte za zdarzenie cudowne. Od tej pory wszystkie zdobycze bandy wędrują na dowcipnie obmyślaną i chytrze dostarczaną pomoc dla wszelakiej artystycznej biedoty: malarz otrzymuje sztalugi, farby i pędzle, muzycy jedzenie etc. etc. Niestety, sprawą zainteresowała się policja, która już, już ma nakryć samozwańczych „cudotwórców", gdy zjawia się inteligentna opiekunka społeczna, która wybawia dzieci z policyjnych obieży i nakłania do zaniechania uproszczonego systemu wyrównywania niesprawiedliwości w podziale dóbr tego świata. Nie brak w filmie także akcentów tragicznych: jeden z członków bandy ulega wypadkowi i jest bliski utraty wzroku, ale otrzymuje pomoc od małych koleżanek i kolegów i wszystko kończy się dobrze.

Film jest przykładem pięknej, artystycznej roboty francuskiej. Unikając taniego moralizatorstwa, operując lekkimi, mistrzowskimi pociągnięciami, świetnie oddaje atmosferę młodego Paryża, słowem bawi i zastanawia, ale nigdy nie nudzi. Język filmowy bez zarzutu: doskonałe tempo, świetne użycie ilustracji muzycznej przy zastosowaniu takich rzadkich chwytów jak śpiewany akompaniament do pościgu policyjnego na rowerach. Zdjęcia doskonałe, gra dziewięciu dzieciaków znanych we Francji pod nazwą „Le petits Poulbots" i zespołu dorosłych z Armontel'em, panią Laurence Aubray i Belperte na czele — bardzo dobra. Film uroczy i świetny — wpuszczenie świeżego powietrza do zatęchłej atmosfery zawalających tutejszy rynek miernot brytyjskich i amerykańskich.

„PŁOMIEŃ I STRZAŁA"

(„The Flame and the Arrow")

Kino: Warner Theatre. *Produkcja:* Warner Bros. *Scenariusz:* Waldo Salt. *Reżyser:* J. Tourneur.

BAJECZNIE kolorowy kawałek kostiumowy z czasów okupacji Italii przez Niemców, a raczej Germanów z Ulrychem von Hesse na czele. Bzdurna, rojąca się od nieprawdopodobieństw, historia à la Robin Hood, z Burt Lancaster'em w roli bohaterskiego myśliwca Dardo, który, zbuntowawszy okoliczną ludność, przy pomocy ognia celnych strzał, huśtania się na kandelabrach i akrobatycznych skoków po murach i żelaznych wiązaniach — mimo, że już powieszony przez podłych okupantów — wypędza ich z wielkiego zamku. Popisy akrobatyczne Lancaster'a i pokaz urody Virginii Mayo mają usprawiedliwić, i może dla niejednego usprawiedliwią wszystkie błędy scenariusza i pastwienie się nad zdrowym sensem.

sp

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu

NAJLEPSZE KSIĄŻKI R. 1950

Podobnie jak w roku ubiegłym i teraz „Sunday Times" rozpisał między pisarzami i intelektualistami ankietę, która z książek wydanych w r. 1950 wzbudziła ich największe zainteresowanie. Pierwsza seria odpowiedzi ukazała się w numerze z d. 24 grudnia.

Na siedmiu odpowiadających czterech, a mianowicie znany powieściopisarz Somerset Maugham, głośny dziś dramaturg Christopher Fry, Carola Oman oraz lord Moran postawili na pierwszym miejscu pamiętniki Boswella „(*Boswell's London Journal*"), o których niedawno pisaliśmy w ŻYCIU.

Druga książka, która pojawia się aż w trzech odpowiedziach, to „*The Kon-Tiki Expedition*" Thor Heyerdahla. Opisuje ona w fascynujący sposób podróże i przygody na Pacyfiku i jego pobrzeżach. Na pierwszym miejscu stawiają ją dwaj uczeni: znawca starożytności klasycznej Gilbert Murray i historyk G. M. Trevelyan. Somerset Maugham umieścił ją na miejscu trzecim po pamiętniku Boswella oraz powieści detektywistycznej W. Stanleya Mossa „*Ill Met by Moonlight*".

W dwóch odpowiedziach: Christophera Fry i Caroli Oman — nie na pierwszym zresztą miejscu — pojawia się biografia angielskiej działaczki społecznej i filantropki Florence Nightingale, pióra pani Woodham Smith.

T. S. Eliot zaczyna swą odpowiedź od stwierdzenia, że nie może oczywiście mówić o książkach, wydawanych przez firmę, której jest dyrektorem (jest to firma Faber and Faber). Eliot zaznacza dalej, że poza manuskryptami, złożonymi firmie, czyta w ogóle bardzo niewiele; współczesnej beletrystyki nie czyta w ogóle poza powieściami detektywistycznymi Francuza Simenona.

Z niewielu książek, jakie przeczytał w r. ub. Eliot wymienia: „*Church and State in England*" anglikańskiego arcybiskupa Yorku, nowe wydanie „*Pascal's Pensées*" w redakcji H. F. Stewarta oraz cykl wykładów znanego myśliciela katolickiego Christophera Dawsona „*Religion and Culture*", Eliot wspomina też, że przeczytał kilka rozdziałów z wybitnego dzieła E. R. Curtiusa „*Europaeische Litteratur und Lateinisches Mittelalter*". Książkę Simone Weil „*La Pesanteur et la grace*" uważa za pozycję zanadto ważną, by lekturę jej ograniczać do jednego roku tylko.

„ENTUZJAZM" A RELIGIA

Znany angielski pisarz katolicki, ks. R. A. Knox ogłosił bardzo interesujące studium pt. „Enthusiasm. A Chapter in the History of Religion" (Oxford, Clarendon Press, cena 30s.)

Autor bada wpływ czynnika psychicznego, który określa mianem „entuzjazmu", na postawę religijną jednostek i całych grup religijnych. Wyraz „entuzjazm" rozumie w znaczeniu, jakie dał mu Johnson w swym słowniku języka angielskiego, a więc jako „a vain confidence of divine favour of communication". Uwzględnia specjalnie wiek XVII i XVIII, omawiając m.in. kwakrów, jansenistów, „kwietystów" i takie postacie, jak George Fox czy John Welsey.

Zdaniem Knoxa cechą charakterystyczną „entuzjazmu", tak jak go on pojmuje, jest „ultra-supernaturalizm". „Entuzjasta" oczekuje bardziej oczywistych rezultatów Łaski Bożej, niż inni wyznawcy. Niecierpliwi go słabszy typ człowieka; ludzi takich Wesley określał słowami „almost Christians" („prawie chrześcijanie"). W wyniku takiej postawy popada się w jeden z dwóch głównych błędów: w zaprzeczenie odpowiedzialności moralnej, lub też położenie większego nacisku na wysiłek goszczenia w duszy swej Boga, niż na troskę o zbawienie duszy.

Książka ks. Knoxa pisana jest oczywiście ze stanowiska ściśle katolickiego.

PO ŁEPKACH

PROFESOROWIE

Z KRAJU nadeszła wiadomość, iż we Wrocławiu zmarł w wieku 57 lat profesor Julian Krzyżanowski. W dwa miesiące po innych znakomitym poloniście, profesorze Wacławie Borowym, który dożył lat zaledwie 60. Z jakimś dziwnym pośpiechem odchodzą z tego świata wybitni polscy uczeni, artyści i pisarze, których płuca nawykły przez 20 lat do powietrza wolności.

Pobieżnie licząc, w roku 1950 kultura polska poniosła następujące straty wybitnych ludzi: w plastyce — Fryderyka Pautscha, Zygmunta Rozwadowskiego, Bartłomiejczyka, Wojciecha Weissa, Wojtyczkę; w muzyce — Adama Wieniawskiego; w fotografice — Jana Bułhaka. Historii sztuki ubył Jan Żarnowski, organizacji nauki — St. Michalski i Edward Kuntze, teatrowi i literaturze — Stefan Krzywoszewski i K.W. Zawodziński, historii — St. Kętrzyński i Czesław Nanke, germanistyce — Adam Kleczkowski, przyrodzie — Bohdan Dyakowski, geografii — St. Srokowski, medycynie — Fr. Walter. Są to tylko nazwiska najwybitniejsze, wynotowane z pamięci. Było ich na żałobnych plakatach w Kraju o wiele więcej.

Być może, że dla ludzi w Kraju zgony te są normalną koleją Bożych wyroków. Dla nas jednak na obczyźnie każda śmierć wybitnego człowieka w Kraju jest jakby wydarciem jeszcze jednego włókna z żywego ciała narodu, liściem opadłym z drzewa kultury, grudą wyrwaną z ziemi. Każdy zgon jest cyfrą, odjętą od tej sumy, która dla nas stanowiła Polskę. Każdy krzyżyk żałobny z Kraju budzi pytanie: Kto pozostanie? Czy kiedyś po powrocie zastaniemy jeszcze to, cośmy przywykli uważać za Polskę?

Największą tragedią emigrantów są zgony w Kraju. Albowiem wszystko, co żyje, da się odzyskać. Śmierć szczelnie za sobą zamyka wrota. (Jednak za wrotami cmentarzy w Kraju jest ziemia polska. Ziemia obca jest jak morze, a spuszczanie trumien w obce doły jest jak rzucanie ciał w głębiny oceanu).

Kiedy tak gromadnie odchodzą naukowcy, uczeni, profesorowie, wówczas obumierają z nimi nie tylko włókna narodu, ale odchodzi w niepowrotną przeszłość cała epoka kultury polskiej. Epoka profesorów.

Różnym jednostkom, grupom i warstwom zdawało się, że są solą polskiej ziemi. A przecież najważniejsi byli profesorowie. Oni byli pierwsi i najlepsi w narodzie. Naród jest taki, jakich ma profesorów. Czechosłowacja swoje odrodzenie jako państwo zawdzięcza profesorowi — Masarykowi.

Gdyby jakiś pisarz pragnął zamknąć w wielkim dramacie całą epokę i idee przewodnie naszej kultury, nie mógłby wybrać wspanialszych ram tej tragedii ponad „Profesorów w Oranienburgu". Taki tytuł powinien mieć dramat dwudziestolecia wolnej Polski. Tam to w niemieckiej kaźni wróg chłostał Polskę i trzymał miecz, którym zamierzał odrąbać głowę od jej ciała. Jeszcze raz zadrżała mu ręka, gdy dokonał tylko częściowo swego dzieła. Tam w rozmowach przedśmiertnych Profesorów rozegrała się jakaś niewymierna, olbrzymia tetralogia ajschylosowska. Tam przyszedł Konrad z celi wileńskiej i dokończył się epilog „Wyzwolenia". Od Oranienburga zaczęła się droga w otchłań.

Odchodzą profesorowie jedni po drugich, nie pozostawiając dziedziców ksiąg swych ni imienia. Było tych ksiąg i rozpraw tyle, że daremne wydaje się dziś podejmowanie zagadnień, których by oni już nie poruszyli. Im to zawdzięczamy wszystko, czym żyjemy a co się wydaje tak naturalne, jak powietrze, poczynając od władania własnym językiem po znajomość dróg Opatrzności i dróg ciał niebieskich. — Inny chyba był chleb, którym się karmili i inne powietrze, którym oddychali profesorowie odchodzącej epoki. Trudno pojąć, jakimi siłami ducha i ciała zdołali posiąść tak gigantyczną wiedzę, tak wieloraką znajomość faktów, kiedy mieli czas przejrzeć tysiące ksiąg i napisać dziesiątki dzieł, a przytem ukształcić swe sądy, umysły i charaktery na wzór antyczny lub Odrodzenia, pełen godności, rozwagi i piękna. Skąd się brali giganci wiedzy tacy, jak Aleksander Brueckner, jak Ignacy Chrzanowski, jak Jan Bystroń?

Cóż po nich zostało? Biblioteki. Nie pozostało żywe dziedzictwo. Niby pozostali także liczni uczniowie, którzy profesorów słuchali, pod ich kierunkiem wyciągali ku nauce ręce, ich mądrość starali się naśladować, a jednak z pism naukowych, wydawanych dziś w Kraju — poza ostatnimi blaskami dawnych piór profesorskich — zionie pustka i ciemność i prostactwo. Nie chodzi już o to, jaki będzie wymiar duchowy polski, kiedy dorośnie tragiczne, niedouczone pokolenie wojenne, ale strach pomyśleć o tym, co będzie już za rok, za dwa... Gaśnie polska nauka. Mniej tragiczny jest los sztuki i literatury, bo one mogą nagle z ziemi wystrzelić, jak kwiaty. Ale nauka wymaga długiego i planowego pielęgnowania. Nie ma sposobów na pośpieszne dojrzewanie wiedzy. A tymczasem z Kraju naszego znika doszczętnie pierwiastek naukowej kontemplacji.

Nie przyjdzie do Kraju żadna odsiecz z zachodu. Nauka polska na obczyźnie mimo szlachetnych wysiłków — więdnie i usycha. Nie tworzy żadnych dzieł, nie wychodzi poza ramy encyklopedycznych powtórek, nie ma sił żywotnych. Taki jest widać los wygnania. Bez rosy ojczystej nic się nie urodzi.

Jan Bielatowicz

NOWA KSIĄŻKA TURNELLA

Pisarz katolicki i znakomity znawca literatury francuskiej Martin Turnell ogłosił nowe studium z tego zakresu pt. „*The Novel in France*" (Hamish Hamilton, 18s.). W niezwykle bystry i oryginalny sposób analizuje on w tej książce rozwój powieści francuskiej od samych jej początków.

Turnell jest stałym współpracownikiem znanych periodyków „Month" i „Dublin Review".

DWIE GODNE UWAGI WYSTAWY

W Royal Academy (Piccadilly) odbywa się obecnie bardzo interesująca wystawa dzieł Holbeina i innych dawnych mistrzów. Wystawa otwarta jest w dni powszednie od 10 — 7, w niedzielę od 2 — 6. Wstęp 2/-.

W Hanover Gallery (32a, St. George Street, Hanover Square, W.1) otwarta została wystawa obrazów Orneore Metelli, malarza włoskiego, zmarłego w r. 1938. Metelli przez całe życie był szewcem w Terni, w Umbrii. Mając lat pięćdziesiąt począł malować obrazy, głównie z życia swego miasteczka. Mimo swego naiwnego prymitywizmu, a może właśnie dzięki niemu, posiadają one dużo fascynującego wyrazu i wdzięku.

KALENDARZ NA ROK 1951

dołączamy do niniejszego numeru jako premię

DLA CZYTELNIKÓW

KRONIKA KULTURALNA

EGZYSTENCJALIZM JASPERSA

Ukazał się przekład angielski podstawowego dzieła jednego z egzystencjonalistów chrześcijańskich Karla Jaspersa („The Perennial Scope of Philosophy", translated by Ralph Manheim, wyd. Routlege & Kegan Paul, cena 10 s. 6d.). Czytelnik katolicki powinien wiedzieć, że w wszystkich poglądach swych jest Jaspers bardzo protestancki. Postawa filozoficzna człowieka jest — zdaniem Jaspersa — bardziej zbliżona do wiary niż do wiedzy. Jest to jednak wiara oparta na doświadczeniu. Zadaniem *philosophiae perennis* jest sięganie tą wiarą filozoficzną poza wyniki badań i tez naukowych danego czasu. Prof. Jaspers odrzuca ontologię, uważając ją tylko za najwyższą i najogólniejszą gałąź nauki, a nie za dyscyplinę filozoficzną. Filozofia w ujęciu jego jest bardzo bliska religii. Dużą część swej książki poświęca Jaspers stosunkowi filozofii do religii i tu właśnie ujawnia tendencje protestanckie, zdradza mianowicie zachwyt dla tych części Pisma Świętego, z których nie dają się wyprowadzić określone dogmaty, natomiast niechęć do dogmatów w ogóle. Biblia jest dla Jaspersa tylko źródłem historycznym, służącym do poznania rzeczywistej egzystencji ludzkiej (real being), stanowiącej — jego zdaniem — podstawę przedmiot filozofii.

Mniej dostępna dla czytelnika polskiego, ale może ciekawsza jest inna książka z tej dziedziny: wydane ostatnio w języku duńskim studium Sejera Kuhle o dzieciństwie i młodości Kierkegaarda, ojca obu egzystencjalizmów (Sejer Kühle, Soren Vie Kierkegaard og Ungdom, Copenhagen: Aschehoug Dansk Foriag). Recenzent „T.L.S." uważa pracę tę za wyczerpującą i fascynującą. Książka ta odznacza się także jasnością relacji, z której m.in. wynika, że rodzice Kierkegaarda byli ludźmi bardzo religijnymi i pobożnymi, co niewątpliwie odbiło się na charakterze filozofii pierwszego egzystencjalisty.

To wszystko podaje się dla użytku studiujących filozofię — w przeświadczeniu, że egzystencjalizm został potępiony przez Papieża w encyklice „Humani Generis" w obu swoich kierunkach: chrześcijańskim i ateistycznym.

ATENEUM KAPŁAŃSKIE PRZESTAŁO WYCHODZIĆ

Otrzymaliśmy wiadomość z Kraju, że zasłużony miesięcznik ATENEUM KAPŁAŃSKIE, wychodzący pod kierunkiem Profesorów Włocławskiego Seminarium Duchownego przestał się ukazywać. Ostatnim numerem czasopisma był nr VIII/IX w r. 1950.

Miesięcznik był poświęcony Pismu św., teologii dogmatycznej, apologetyce, teologii moralnej, ascetycznej, i pasterskiej, prawu kanonicznemu, liturgice, filozofii, historii, naukom społecznym, pedagogii i sztuce chrześcijańskiej.

Pismo to istniało od r. 1909 i było doskonale postawione pod względem redakcyjnym. Jednym z ostatnich jego redaktorów był obecny Prymas Polski J. E. Ks. Arcybiskup Stefan Wyszyński, gdy był jeszcze profesorem Seminarium Duchownego w Włocławku.

Zaprzestanie wydawania tego pisma dla kapłanów jest najwidoczniej następstwem nowych utrudnień stawianych wydawnictwu przez komunistyczne władze w Polsce.

RADA KULTURALNO-OŚWIATOWA ZJEDNOCZENIA POLSKIEGO W W. BRYTANII

W dniu 30 listopada br. odbyło się w Zjednoczeniu Polskim zebranie Rady Kulturalno-Oświatowej, któremu przewodniczył Prof. dr. T. Brzeski. Rada wysłuchała sprawozdania z działalności Zjednoczenia w dziedzinie kulturalno - oświatowej, które złożył wiceprezes Grocholski. Postanowiono wznowić prace Rady, skupiając się w najbliższym okresie na przygotowaniu materiałów z zakresu oświaty i kultury na najbliższy Kongres Zjednoczenia, zapowiedziany na 10 i 11 lutego 1951 r. Chodzi o sporządzenie możliwie kompletnego zestawienia polskiej akcji kulturalno-oświatowej w W. Brytanii, aby w oparciu o ten materiał Kongres mógł zaprojektować uzgodnione wytyczne społecznej polityki kulturalno — oświatowej w ścisłym związku z realnymi potrzebami i konkretnymi możliwościami.

Rada postanowiła zwrócić się do wszystkich instytucji i organizacji polskich zajmujących się sprawami oświaty, wychowania i kultury z prośbą o nadesłanie szczegółowych danych o ich działalności obecnej i zamierzeniach. Prezesem Rady na okres do najbliższego Kongresu został obrany ponownie dr. Mieczysław Giergielewicz.

DZIENNIK MÓWIONY — ZJEDNOCZENIA POLEK

Przedświąteczny „Dziennik Mówiony" Zjednoczenia Polek zasługuje na pozytywną wzmiankę z uwagi na kulturalne i inteligentnie wtopione w całość elementy literackie (w opracowaniu Olgi Żeromskiej) i wokalne (Tola Korian). Wieczór ten miał charakter wigilijno-kolędowy. Panie: Zelwerowiczówna i Żeromska recytowały szereg utworów pisarzy polskich, a Tola Korian śpiewała polskie kolędy przy akompaniamencie Jerzego Kropiwnickiego. Przy tej okazji warto podkreślić sumienną pracę artystyczną Leny Zelwerowicz, którą chcielibyśmy jak najprędzej ujrzeć na prawdziwej scenie. O zdolnościach i wszechstronności p. Żeromskiej pisaliśmy już nieraz.

SPROSTOWANIE

Tytuł wiersza Siostry Teresy z Lisieux w świątecznym numerze powinien brzmieć „PIEŚŃ ANIOŁÓW PRZY ŻŁOBKU" a nie „PIEŚŃ PASTERZY"... Bardzo przepraszamy tłumacza za omyłkę.

W artykule B. Przeradzkiego „Księga adresowa Wielkiej Emigracji" w nrze 52/53 ŻYCIA, str. 13, łam czwarty, wiersz 13 od góry, przez pomyłkę wstawiono niewłaściwy wiersz. Odnośne zdanie brzmieć powinno jak następuje: „obok tego pojawiają się również nazwiska obcego pochodzenia, głównie mieszczańskie" — itd.

PAMIĘTAJ o KATOLICKICH NAGRODACH LITERACKICH

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: **Veritas Foundation Publication Centre.** Adres redakcji i Administracji: **Polish Weekly, ŻYCIE, 12 Praed Mews, London W. 2.** Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt **tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł.** Administracja czynna **codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17** — z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja **żadnych rękopisów nie zwraca.** W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. **Prenumerata** płatna jest z góry i wynosi: **miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty** przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „**crossed**", wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam £ 1; **w tekście** 50% drożej, na stronie **tytułowej** 100% drożej. **Prenumerata zagraniczna:** SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: Mgr. KUROWSKI. Anggatan 6 c. Lund. Sverige. Sweden. NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM. kwartalnie 7.00 DM. ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półrocznie 52 pesos. Przedstawiciel: J. MIECZNIKOWSKI & T. DĄBROWSKI. Składnica Książki Polskiej. Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: PKSU VERITAS, Section Suisse, Case Postale 19, Fribourg 2. USA: kwartalnie pocztą zwykłą 2 dol.; poczt ą lotniczą — 5 dol. Przedstawiciel: A. Stojanowski, 36, Dearborn Ave, Rye, N.Y.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734